

Sprawa Filipowa

Andrzej Pilipiuk



calibre 0.9.27



Andrzej Pilipiuk

Sprawa Filipowa

Sankt-Petersburg wiosna 1903r.

Poniedziałek, godzina 11:18

Ostro pachniały końskie pączki,
które, mimo surowych przepisów
porządkowych, poniewierały się tu
i ówdzie na ulicach. Od Newy
wiało chłodem, choć nie było już
na niej kry. Drzewa na skwerkach
pozieleniały, a w powietrzu unosił

Ilustracja: Katarzyna Oleska

się, przyniesiony z wiatrem,
zapach świeżej ziemi. Gdzieś za rogatkami miejskimi pola czekały na
obsianie. Z niewielkich kawiarenek i knajpek buchały zapachy jedzenia.
Twarze ludzi wychodzących z cerkwi i soborów rozjaśniała radość.
Przestrzeń śpiewała. Rozległ się stukot kopyt i ulicą przemknął odkryty
powóz. Ci, którzy stali najbliżej, poznali ubranego w paradny mundur
pasażera i wyrzucili do góry czapki. Powóz jechał dość szybko. Siedzący w
jego wnętrzu car oderwał się od leżących mu na kolanach papierów i
pozdrawiał tłum. Ludzi ogarnęło uniesienie.

Jeden człowiek nie podzielał ogólnej radości. Twarz miał zaciętą, w
oczach płonęły ponure ognie. Ubrany był w długi, czarny płaszcz, a na
głowie miał zrudziałą robociarską czapkę. Dostrzegł zamieszanie, jakie
wywołał przejeżdżający obok powóz i domyśliwszy się, kto może nim

jechać, puścił się biegiem wzdłuż nabrzeża. Konie sadziły szybko, drobinki błota tryskały im spod kopyt. Mężczyzna przyspieszył. Biegł samym brzegiem rzeki, tam, gdzie nie było ludzi. Zaczynał już mieć zadyszkę, ale nie zwalniał. Powóz za chwilę skręci na most. Wtedy... Namacał w kieszeni pistolet. A potem drogę zagroził mu zbity tłum. Przed wjazdem powstał ścisk. Człowiek z pistoletem nie zdołał się precisnąć. Przez jego głowę przeleciał huragan myśli. Strzelać! Teraz, natychmiast. Szansa trafienia jest niewielka, ale... Car usiadł. Morze głów, las rąk. Niedoszły zamachowiec rozejrzał się wokoło. Gdyby teraz wyciągnął broń, ci ludzie, którzy go otaczali, zatłukliby go na śmierć. Wolno się wycofał, zapinając jednocześnie płaszcz. W chwilę później przeszedł koło stojkowego. Ten nie zwrócił na niego uwagi. Minawszy policjanta, zszedł nad rzekę po kamiennych schodkach. Do specjalnego uchwyty, wmurowanego w kamień tuż nad wodą, przycumowano niewielką, płaskodenną łódkę, z gatunku tych, którymi można było za stosowną opłatą przeprowadzić się na drugi brzeg rzeki. W tej łódce nie było właściciela, zresztą, nawiasem mówiąc, spoczywał on od poprzedniego wieczora na dnie rzeki. Potrzeba nie zna prawa. Zwłaszcza, gdy potrzebującym jest rewolucjonista. Odpiął łańcuch i powiosłował w górę rzeki. Niedaleko, kilkaset metrów. W tłumie był jeszcze jeden człowiek, któremu nie spodobało się rozgrywające na jego oczach widowisko. Skrzywił wargi w złym uśmiechu. Zawarł w nim całą swoją pogardę do cara i do ludzi. Sprawdził godzinę na swoim złotym, kieszonkowym zegarku i, lekko zdziwiony, ruszył nieco szybszym krokiem w stronę pobliskich schodków, prowadzących nad

wodę. Człowiek z łódką i ten ze złotym zegarkiem dotarli na miejsce spotkania jednocześnie. Ten z zegarkiem wskoczył do środka i odpłynęli od nabrzeża na środek rzeki. Teraz dopiero, gdy nikt nie mógł ich podsłuchać, zaczęli rozmowę. Pierwszy zaczął mówić wiosłujący mężczyzna w płaszczu.

- Zakładam, że jest pan profesorem Michaiłem Michajłowiczem Filipowem.

- Zgadza się. A pan jest Borys Sawinkow, przywódca organizacji bojowej partii socjalistyczno - rewolucyjnej i tak dalej.

- Zgadza się. Jestem terrorystą.

Profesor popatrzył uważnie na swojego rozmówcę. Szczera twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, chorobliwie biała skóra, a w oczach dynamit...

- Dobrze. I co dalej? W liście nalegał pan na spotkanie. Swoją drogą, gdy zobaczyłem podpis, myślałem w pierwszej chwili, że to prowokacja Ochrany.

- Słyszałem, że jest pan obserwowany od czasów zamachu na cara Aleksandra... Zdaje się, że dynamit, który został użyty przez towarzysza Hryniewicza, był pańskiej produkcji?

Profesor niespodziewanie poczuł ukłucie nieufności.

- Nie będę potwierdzał, ale też nie zaprzeczę - powiedział.

Terrorysta skinął głową.

- Z grubsza o tym chciałem rozmawiać.

- Jeśli potrzebuje pan dynamitu, to trafił pan pod niewłaściwy adres.

Nie zajmuję się produkcją. Jestem profesorem, owszem, ukończyłem studia chemiczne i przyrodnicze, ale to...

- Pan daruje. Po co miałbym fatygować pana, gdyby chodziło mi o kilka kilogramów materiału wybuchowego? Nie ośmieliłbym się w tak błahej sprawie zawracać panu głowy. Dynamit sam umiem zrobić. Gorzej z trotylem..

- Mogę służyć fachową pomocą, jeśli chodzi o teoretyczną stronę zagadnienia. Ale tylko teoretyczną.

- Dziękuję, naprawdę nie trzeba. Mamy w partii kilku fachowców.

Zająłem panu czas w zupełnie innej sprawie.

- No cóż. Proszę przechodzić do konkretów.

Sawinkow sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył plik kartek, wyprutych z "Przeglądu Naukowego". Otworzył je na jednej ze stron.

- Tu jest pański artykuł, panie profesorze. Artykuł odnoszący się do prac Marii Skłodowskiej-Curie.

- Zgadza się. Ja go napisałem. Nie wiedziałem, że rewolucjoniści czytują literaturę naukową. I to zwłaszcza tak hermetyczną... Pismo, które redaguję, jest przeznaczone dla wąskiej grupy fachowców.

- Raczy pan żartować, panie profesorze. Może i nie skończyłem studiów, ale to nie znaczy, że nie mogę zrozumieć najprostszego...

Zresztą, czytałem także pracę, która jest w nim recenzowana. I sporo ciekawych informacji udało mi się przyswoić.

- Do czego pan zmierza?

- Och, to proste. Wspomina pan w swojej recenzji, że siły, które wiążą

atom do kupy, są niewyobrażalnie wielkie. I że nie można porównywać

ich z siłami wiążącymi atomy w cząsteczki. I sugeruje pan, że w

określonych warunkach można by te siły wyzwolić.

- Z grubsza tak. Otrzymałem przed kilku tygodniami dość zagadkową

przesyłkę... Wspominam zresztą o niej w tym artykule... Ktoś przesłał mi

kilkadziesiąt niezwykle interesujących wzorów i schematy czegoś, co

określił idiotycznym mianem "bomby atomowej". Nie wiem jeszcze, czy cokolwiek z tego wyjdzie, ale wzory te są wysoce zastanawiające...

Niestety badania mogące doprowadzić do pozytywnych wyników byłyby

potwornie kosztowne...

- Od kilku lat stosuję trotyl i dynamit i do tej pory siły, które wyzwalały się przy ich rozkładaniu się, zadowalały mnie. Gdy potrzebowałem czegoś

mocniejszego, kupowałem od moich znajomych anarchistów

nitroglicerynę.

- W sumie sześć zamachów, w tym cztery udane.

- Nie jest łatwo być terrorystą. Zresztą, wymyślają coraz to nowe cuda.

Opancerzone powozy, broje... A nasze bomby mają niewielki zasięg.

Trzeba podbiec, rzucić, następuje wybuch, rzucający może zginąć. Można

też dopaść carskich oficjeli w ich pałacach, ale wówczas potrzeba większej

siły.

- Sto pudów trotylu zniesie z powierzchni ziemi pół miasta.

- Nie przesadzajmy, profesorze. Nasze najcięższe bomby mają po

jakieś pół puda. Trzeba by taką stupudową przenieść pod mur, a do tego

trzeba by ze czterech chłopów.

- To ma związek?

- Co?

- Pańska wypowiedź odnośnie wysadzania całych pałaców z moim artykułem?

- Tak. Sugerował pan możliwość sztucznego przyśpieszenia rozpadu atomów, co wiązałoby się z wyzwoleniem odpowiednich do moich celów ilości energii. Jeśli podane przez tajemniczego nadawcę dane są prawidłowe, niewielkim ładunkiem można by zdmuchnąć pół miasta...

- O ile są prawidłowe... Chyba pan sobie zdaje sprawę z tego, że rozbitcie atomu jeszcze przez dziesięciolecia pozostanie w sferze niesprawdzonych hipotez naukowych, a wręcz pseudonaukowych?

- Zdaję sobie sprawę. Ale nie mogę czekać.

Profesor wpatrzył się w zadumie na rozciągające się na brzegach rzeki miasto.

- Chce pan, żebym zbudował opisaną w artykule bombę?

- Właśnie. Chciałbym mieć coś, co postawię, a potem odejdę. I co, rozrywając się, zmiecie z powierzchni ziemi całe Carskie Sioło. Wraz ze wszystkimi mieszkańcami.

Profesor parsknął śmiechem. A potem nagle przestał się śmiać.

- Czy jest to możliwe? - zapytał Sawinkow.

- Nie. Chociaż hipotetycznie chyba by się dało.

- Wobec tego złożę w imieniu mojej partii zamówienie. Czy zdąży pan na początek przyszłego kwartału?

Tym razem profesor śmiał się tak, że mało nie popuścił w spodnie.

- Mam rozbić atom w ciągu półtora miesiąca?

- Dysponuje pan najbystrzejszym umysłem w całej Rosji.

- Eksperymenty, które być może doprowadzą do pozytywnych

wyników, mogą potrwać lata. No i oczywiście będą kosztowne jak diabli.

Uran wydobywa się obecnie w trzech czy czterech miejscach na świecie.

Terrorysta uśmiechnął się.

- Ile potrzeba?

- Pięćdziesiąt tysięcy rubli. Oczywiście na początek.

Usta terrorysty wygięły się w podłym uśmiechu.

- Pieniądze będą jutro rano - powiedział. - Spotkamy się...

*

12:26

Nikifor Iwanowicz Susłow szedł gorącym tropem. Od stójkowego do stójkowego. Każdemu pokazywał niedużą, niezbyt wyraźną fotografię.

Stójkowych dobierano tak, aby łatwo zapamiętywali twarze, ale

oczywiście nie wszystkim się to udawało. Ślad zaprowadził go na

nadbrzeże. Ostatni z dyżurujących tu stójkowych na widok fotografii

zamyślił się na chwilę.

- Tak, on tu był - powiedział wreszcie. - Godzinę temu przejeżdżał

Najjaśniejszy Pan. Ten typek najpierw pobiegł za powozem, a potem

zatrzymał go tłum. Przeciskał się koło mnie, a potem zszedł w dół, miał

tam przywiązaną łódkę. Taka nieduża, z niebieskim paskiem nad linią

zanurzenia.

- Kiedy to było?

- Jak już powiedziałem, godzinę temu.

- Dziękuję w imieniu służby - wcisnął stójkowemu srebrnego rubla i wszedł na most.

Z przewieszanej przez ramię torby wydobył silną lornetkę i wolno zaczął badać powierzchnię rzeki na całym odcinku, który mógł objąć wzrokiem. Niespodziewanie spostrzegł łódkę. Kiwała się na wodzie jakiś kilometr dalej. W pierwszej chwili stwierdził, że płynie z prądem, ale po chwili dostrzegł linkę, za pomocą której przycumowano ją do sterzącego z wody pala. Wyjął z kieszeni mapę i chwilę ją studiował. Następnie wszedł do pobliskiej apteki.

- Chciałbym zadzwonić - powiedział, odwijając jednocześnie kołnierz.

W ciemnym wnętrzu apteki błysnął złotem znaczek Ochrony.

Właściciel postawił aparat na ladzie. Agent podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z departamentem. Po chwili, zadowolony z siebie, wyszedł z apteki i przeszedłszy po moście na drugą stronę, ruszył szybkim krokiem wzdłuż rzeki.

12:56

Agenci Josif Akimow i Tomasz Wilkowski już na niego czekali.

Akimowa znał lepiej, pracowali razem nad szeregiem spraw. Wiedział, że może na nim polegać prawie tak samo, jak na sobie. Wilkowski pracował w Ochronie dopiero od dwu tygodni. Chwilowo był praktykantem. Był bardzo bystry i Nikifor już teraz czuł, że ten człowiek zajdzie bardzo daleko. Jednocześnie wyczuwał w tym milczącym Polaku coś dziwnego.

Pewną obcość. Nie potrafił powiedzieć, na czym polega. Tomasz

wyglądał, jakby był chory. Twarz miał chorobliwie bladą, a czasami

zamykał na chwilę oczy i przetaczał głową po szyi, tak, jakby chciał odsunąć zawrót głowy. Niekiedy, szczególnie rankami, miewał delikatne tiki nerwowe. Susłow usiłował go rozgryźć. Tomasz, jak się wydawało, czekał na coś, co dopiero się wydarzy. Wypełniał wszystkie zadania wyjątkowo sumiennie, ale zbyt interesował się czasem. Skreślał kolejne dni w swoim kalendarzyku i często patrzył na zegarek. Ale dzisiaj wydawało się, że wreszcie nadszedł dzień, na który czekał. Widać było po nim potworne napięcie. Jak na ostatnich metrach bieżni, gdy zawodnik za chwilę rzuci się na taśmę i zdobędzie zwycięstwo.

- I jak? - zapytał Susłow.

- Sprawdziłmy dyskretnie cały park i bulwar nad wodą - zameldował Akimow. - Nigdzie ani śladu.

- Dobrze. Obserwuj łódkę. Jeśli nie wróci po nią w ciągu sześciu godzin, to będzie znaczyło, że już nie wróci. Sprawdziliście ją?

- Nie.

Przyciągnął sobie linkę i zajrzał do środka. W łódce leżało kilka niedopałków papierosów, popiół wytrząśnięty z fajki oraz oderwany kawałek jakiegoś papieru. Wydobył go. W rogu widniała pieczęć biblioteki uniwersyteckiej. Umieścił świstek w swoim notesie.

- Było ich co najmniej dwu - powiedział do Akimowa.

- Dlaczego tak sądzicie?

- Jeden palił papierosy, a drugi fajkę. Mogło być ich nawet trzech, choć łódka jest dość mała, a sadząc po śladach wody na burcie, nie zanurzyła się zbyt głęboko. Dlatego myślę, że raczej dwu.

- Choroba - powiedział Akimow z uznaniem.

- Nu spokojnie. Za pół roku też będziesz umiał się domyślić. Trzeba zwracać uwagę na szczegóły. Szkoda, że na brzegu nie ma śladów.

W tym momencie Wilkowski wyciągnął z krzaczków jakiegoś pijaczka.

Susłow podszedł do niego i pokazał mu znaczek.

- Porozmawiamy sobie? - zapytał.

Pijaczek energicznie pokręcił głową.

- Fatalnie. Chyba trzeba cię będzie zaprowadzić na odwach. Jak długo tu siedzisz?

- Od wczoraj - wybełkotał pijaczek.

- Świetnie. A widziałeś może takiego, co tu wysiadł z łódki?

- Było ich dwu - powiedział pijaczek. - Jeden jakby robotnik, ale rączki miał bielutkie. Socjalista aż śmierdziało. A ten drugi lepszy gość. Dewizkę miał. Złotą.

Susłow spojrzał na Akimowa. Twarz tego ostatniego wyrażała podziw.

- Taki jak ten? - podsunął pijakowi fotkę.

- Ten sam - ucieszył się pijaczek. - Ta sama wredna morda.

- Kiedy wysiedli? - zapytał Wilkowski.

- Pół butelki temu.

- Jakies piętnaście do dwudziestu minut - wydedukował Susłow. -

Akimow, zostańcie przy łódce. Wilkowski ze mną.

- A ten tutaj?

Susłow wręczył pijaczkowi dwadzieścia kopiejek.

- Wypij sobie piwo za zdrowie Ochrony - powiedział.

- Wedle rozkazu, panie naczelniku! - wrzasnął służbiście pijaczek i

usiłował zasalutować, ale trafił się palcami w oko.

Ruszyli. Napotkany niebawem kolejny stójkowy pokazał im, w którym kierunku udał się poszukiwany. Jak się okazało, dziesięć minut temu był już sam. Jego tajemniczy towarzysz ze złotą dewizką zniknął bez śladu.

Kolejny stójkowy nad kanałem widział, jak dopiero co Sawinkow wsiadał do tramwaju. Obaj wywiadowcy złapali bryczkę i pognali w ślad za nim.

Niebawem dopędzili tramwaj.

- Może być uzbrojony - przypomniał Wilkowskiemu.- Skaczemy jednocześnie. W razie czego strzelaj tak, żeby zabić.

Wilkowski uśmiechnął się lekko. Bryczka przyśpieszyła. Skoczył, lądując na tylnym pomoście. Zrobił to tak zręcznie, że Nkifor się zdziwił.

Woźnica strzelił z bata i po chwili Susłow wylądował na przednim pomoście tramwaju.

- Dokąd, dokąd, taka twoja...- wydarł się konduktor, ale widząc odznakę Ochrony, którą mignął mu w przelocie agent, umilkł.

W wagonie nie było nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi. Nikt z podróżnych nie widział też człowieka przedstawionego na zdjęciu. Agenci wyskoczyli w biegu. Zawrócili na miejsce, gdzie po raz ostatni widziano wroga i zaczęli wypytywać okolicznych stójkowych. Nikt nic nie widział.

Borys Sawinkow zniknął, jakby go ziemia pochłonęła.

*

Sawinkow wyczołgał się spod ławki w tramwaju. Poślinionymi palcami zgasił lont trzymanej w ręce laski dynamitu. Rewolwer zatknął za pasek.

- Dziękuję za współpracę - powiedział kwaśno do pasażerów i

wyskoczył z wagonu.

*

13:17

- No to straciliśmy trop - powiedział ponuro Nikifor. - A już byliśmy tak blisko. Dziesięć minut i byśmy go mieli.

- Musieliśmy popełnić błąd - zauważył Tomasz. - Co będziemy robić dalej? Urwały nam się w ręku wszystkie nici...

- Spokojnie, nie panikuj. Ponieważ jesteś praktykantem, powiedz, co zrobiłbyś na moim miejscu.

- Cofnąłbym się do miejsca, gdzie widziano go po raz ostatni.

- Jak widzisz, to nic nie dało.

- A może do jeszcze poprzedniego?

- Koło łódki.

- Wobec tego wróciłbym do łódki i tam czekał, aż przyjdzie po nią, a wtedy cap.

- Musisz nauczyć się jednej podstawowej prawdy o rewolucjonistach.

To nie są złodzieje. To znaczy, oczywiście, kradną, co tylko im wpadnie w ręce, ale poza pieniędzmi i żywnością nie zatrzymują tego na stałe.

Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Ukradł łódkę, popływał nią w towarzystwie znajomego po Newie, a potem porzucił ją na zawsze?

- Dokładnie tak.

- Po co więc zostawił tam pan agenta Akimowa?

- Och, to proste. Na wszelki wypadek. Widzisz, rewolucjonista mógł

wyjść na ląd, aby coś zjeść i wróci, aby kontynuować podróż, ale to mało prawdopodobne. Więc co uważasz, że powinniśmy robić?

- Może wrócić do centrali i czekać na sygnał, że gdzieś go widziano.

- Dziś rano zadzwoniono i powiedziano mi, że wysiadł na Dworcu
Nikołajewskim. Szedłem za nim cztery godziny i nie udało mi się go
dogonić. Ale zdobyłem dwa kolejne ślady.

Wilkowski zamyślił się.

- Ten kawałek gazety z łódki i...

- ...i?

- Nie wiem.

- Na łódce było nazwisko właściciela. Trzeba patrzeć.

- Tak jest. Mając nazwisko właściciela, możemy go odszukać i oddać
mu jego własność.

- Genialnie. Chodziło mi raczej o możliwość sprawdzenia, czy nie byli
ze sobą w zмовie, ewentualnie czy nie zostawił tam jakichś innych
tropów. Kartką jeszcze się zajmiemy. Gdzie znajdziemy jego adres?

- W cyrkule.

- Tak, ale w którym? Jest ich w Petersburgu dwadzieścia sześć.

- Myślę, że w takim nad Newą. To znaczy, obejmującym dzielnice
przylegające do rzeki.

- To nam zmniejsza ich ilość do dziesięciu.

- To już niedużo. Chodźmy.

- Pięć godzin łązenia, pod warunkiem, że się rozdzielimy. Pomyśl
jeszcze.

- Łódka! Może w admiralicji?

Susłow tylko westchnął ciężko.

- Na posterunku policji wodnej - powiedział z westchnieniem. - Nawa jest od wielu lat patrolowana przez specjalny oddział. Mają tam spis wszystkich, którzy pracują na rzece. Weźmy dorożkę.

*

14:20

Na wschód od miasta rzeka płynęła tak, jak przed wiekami. Rozlana szeroko, sączyła się leniwie między starorzeczami i bagnami. Nikifor i Tomasz weszli pomiędzy opłotki rozłożonej na brzegu rzeki niedużej wioski. Chałupy, zbudowane byle jak z przypadkowych materiałów, chyliły się do ziemi. Na widok obcych rozszczeły się rachityczne kundle.

Za płotów wyjrzały rozczochrane głowy brudnych dzieciaków. Agenci szli, nie zwracając na to uwagi. W nozdrza bił ich smród gnijącej ryby i dawno nie sprzątanym wychodków. Niebawem doszli do chałupy leżącej na skraju wsi. Lekko uchylone drzwi kołysały się na wietrze. Weszli do środka bez pukania i zatrzymali się pośrodku sporej izby. Podłogę pokrywała warstwa brudu. Meble, wyłowione najwidoczniej kiedyś z rzeki, przeżarte przez wilgoć i robaki, straszły po kątach. Okna, zaciągnięte błonami łożyskowymi jakichś zwierząt, przepuszczały mało światła. Susłow, walcząc z obrzydzeniem, otworzył je. Rozejrzał się uważnie.

- Właściciel łódki nie żyje - powiedział.

- Skąd pan wie?

Agent wskazał mu podłogę w kącie. Pokryta była jakąś dziwną, zaskorupiałą masą.

- To krew. Musiał go trafić w aortę. Tryskało aż na ściany.

Na twarzy Wilkowskiego odmalowało się skrajne obrzydzenie. Ale jego oczy pozostały nieruchome. Udawał. To też było dziwne. Tomasz zawsze potrafił się opanować. Zupełnie, jakby dążył do jakiegoś celu i wszystko, co było pomiędzy nim a celem, przestawało być ważne. Albo jak gdyby zobaczył w życiu takie rzeczy, że kilka trupów więcej nie robiło na nim żadnego wrażenia.

- Co zrobił z ciałem? - zapytał.

Susłow rozejrzał się jeszcze raz, po czym ruszył w stronę drzwi w kącie pomieszczenia. Otworzył je z rozmachem. Za drzwiami była niewielka komórka. W jej wnętrzu na podłodze znajdowała się kolejna duża plama.

- Tu go wrzucił na kilka minut - powiedział do Tomasza. - Zanim skonał, pewnie po to, żeby nie przeszkadzał pod nogami.

W ścianie komórki była niewielka dziura. Wyszli z domu i obeszlą go wokoło. Po drugiej stronie, na ziemi, znaleźli jeszcze trochę krwi. Idąc śladem kropli, dotarli do niedużego pomostu. Tu trop się urywał.

- Tu cumował łódkę.

- Gdzie jest ciało?

- Na dnie. Zobacz, jaka tu ławica małych rybek. Skocz no, powiedz tym z wioski, żeby wezwali ekipę śledczą, a ja się tu przez chwilę jeszcze rozejrzę.

Wilkowski pobiegł, a Susłow zawrócił do chatki. Rozglądał się uważnie,

nie chcąc nic przegapić. Niewątpliwie stoczono tu bójkę. Świadczył o tym porzucony w kącie nóż rybacki i stłuczony talerz. Niestety nigdzie nie widać było nic, co mogłoby wypaść z kieszeni terrorysty. Nie sposób było także ustalić, kiedy rozegrał się ten krwawy dramat. Z przyzwyczajenia zajrzał na odchodnym do pieca. Leżało w nim sporo jakichś papierów, doszczętnie strawionych przez ogień. Ostrożnie, pomagając sobie pęsetą, zdjął najwyższy z nich. List. Słów nie dawało się odczytać, ale w nagłówku zachowała się nazwa miasta, z którego został wysłany. Kijów. Papiery poniżej były po prostu resztkami gazet. Rozległo się pukanie do drzwi. Odwrócił wzrok. W progu stali czterej policjanci. Pokazał im swoją legitymację i gestem wskazał plamę krwi. Wilkowski czekał już na zewnątrz.

- I co? - zapytał.

- Mamy w ręce jeszcze jedną nić. Miejmy nadzieję, że się nie zerwie.

- Ten strzępek gazety?

- Właśnie.

Wilkowski uśmiechnął się lekko.

"On wie jeszcze coś" - pomyślał jego szef. - "Tylko skąd i co to jest?"

Czyżbym coś przeoczył? I dlaczego nic nie mówi?"

*

15:28

Bibliotekarz był starszym mężczyzną o spojrzeniu oszołomionej światłem dnia sowy.

- "Przegląd"? Hm, tak, to nasza pieczęć. Zaraz sprawdzę.

Podreptał do magazynu. Wilkowski rozglądał się ukradkiem po czytelnicy. Pod ścianami, na regałach, stały setki książek. Pośrodku, przy stole, siedzieli studenci. Czytali, robili notatki. Wiosenna sesja egzaminacyjna była niedaleko. Wrócił bibliotekarz. Miał w ręce najnowszy numer. Otworzył go i zaklął cicho. Ze środka numeru ktoś wyrwał kilka kartek.

- Barbarzyństwo - powiedział.

- Czy macie tu jakiś rejestr czytelników? - zapytał Susłow.

- Tak, oczywiście, zapisujemy numery indeksów i nazwiska korzystających. Zaraz sprawdzę, kto zacz...

Otworzył grubą księgę i zaczął ją kartkować.

- Mam. Ihor Semenowicz Bezrodnyj.

Brwi Susłowa uniosły się do góry.

- Mieszka przy Pocztowej? - upewnił się.

- Tego nie wiem - bibliotekarz rozłożył bezradnie ręce. - Nie mamy ich adresów.

- Czy możemy zobaczyć inny egzemplarz tego pisma? Chcemy sprawdzić, czego brakuje.

- Obawiam się, że nie dysponujemy. Ale mam gdzieś zapisany adres redakcji.

Po chwili wyszli z biblioteki nieco mądrzejsi, niż byli wchodząc.

- Co robimy? - zapytał Tomasz. - Mamy podwójny ślad. Idziemy do redakcji czy pogadać z tym, który się wpisał?

Szef poskrobał się po głowie.

- Redakcja nie zajac, nie ucieknie. Jest trzecia godzina. Myśle, że trzeba wpaść na Pocztową. Złapmy dorożkę.

Złapali.

- Może mi pan teraz wyjaśnić, dlaczego poszliśmy tropem tego

Bezrodnego, zamiast prosto do redakcji?

- No cóż. Aby skorzystać z biblioteki, ten cały Sawinkow posłużył się indeksem swojego kumpla lub wysłał go, powinienem był pokazać bibliotekarzowi fotkę. Nu nic. W takim przypadku Bezrodnyj może nam powiedzieć, gdzie akurat siedzi, albo możliwe, że mieszka u niego w gościnie.

- Zna pan jego adres. Dlaczego?

- Nasz drogi przyjaciel jest wojującym anarchistą. Prowadziliśmy niedawno jego dyskretną obserwację.

- Jeśli jest anarchistą, to dlaczego jeszcze studiuje? Powinien dostać wilczy bilet.

- Błędne rozumowanie. Widzisz, Tomaszu, jeśli postudiuje jeszcze trochę, to może zmądrzeje na tyle, aby dostrzec bezsens ideologii anarchistycznej. Ale oto i jesteśmy.

Twarz Tomasza na chwilę przybrała wyraz żalu i politowania.

*

15:42

Wysiedli przed wysoką, obskurną kamienicą czynszową. Przeszli przez bramę na podwórze. Kamienica wyglądała fatalnie. Ściany obłaziły z tynku. Część szyb zastąpiono płatami tektury lub gałganami. W powietrzu

niosła się woń kurzu, stęchlizny i dawno nie sprzątanym wychodków.

Weszli w drzwi w kącie podwórza. Schody, prowadzące na wyższe kondygnacje, trzeszczały i uginały się złowrogo pod ich nogami. Wreszcie dotarli na poddasze. Susłow wyciągnął z kieszeni rewolwer.

- Oto plugawa siedziba czterech albo pięciu anarchistów - powiedział. -

W razie czego strzelamy bez ostrzeżenia.

Wilkowski wyciągnął swój pistolet i odbezpieczył go. Agent nacisnął klamkę i wpadli do wnętrza. Włosy podniosły im się na głowie. W sporej izbie ktoś, zapewne główny lokator mieszkania, urządził sobie małą fabryczkę. Wszędzie stały blaszane miski z różnymi odczynnikami chemicznymi. Poniewierały się ogniwa elektryczne i kostki gotowych produktów. Trotyl, dynamit, amonit, bawełna strzelnicza. Lokator też tu był. Stał w niewymuszonej pozycji, trzymając w ręce butelkę z oleistożółtą zawartością.

- Nitrogliceryna - ostrzegł.

Susłow zignorował go zupełnie.

- Gdzie jest Borys Sawinkow? - zapytał, idąc spokojnie w stronę studenta.

- Nie podchodź, bo zginiemy wszyscy.

Uśmiechnął się, a potem walnął studenta w twarz. Ten uderzył o ścianę, gubiąc śmiertelnie butelkę. Naczynie poleciało w stronę podłogi.

"Teraz umrę" - pomyślał Tomasz.

Zacisnął zęby. Nie chciał umierać. Butelka upadła i nic się nie stało.

Odetchnął z ulgą. Jego pryncypał właśnie skuwał anarchiście ręce na plecach.

- Idź naprzeciwko do sklepu Jelisejewów. Zatelefonuj i wezwij ekipę śledczą - polecił.

- To nie była nitrogliceryna - wykrztusił z siebie.

- Tu ma miskę tartych kartofli - szef wskazał na blaszaną miskę, stojącą na stole. - A tam jest patelnia.

Faktycznie, na ławie pod ścianą stał prymus, a na nim nieduża, pogięta patelnia.

- Właśnie chciał sobie smażyć obiad, gdy go naszliśmy. Pamiętaj o patrzeniu.

- Olej do kartofli!

- Właśnie. Kolorem się nie różni.

Tomasz wyszedł, a Susłow popatrzył uważnie na swojego jeńca.

- No to zeznawaj.

- Co mam zeznawać?

- Wszystko, co wiesz o Sawinkowie.

- Nic nie wiem.

I wtedy agent niespodziewanie spostrzegł, że popełnił błąd. Na stole stały dwa talerze. Okno wychodzące na dach nie było zamknięte.

- Obejajec! - wrzasnął na studenta.

Pchnął go na ziemię i otworzywszy z rozmachem okno, zaczął gramolić się na dach. Wypełził już połową ciała, gdy go zobaczył. Rozpoznał od razu. Twarz była uderzająco podobna do twarzy na zdjęciu, które

pokazywał setkom ludzi. Terrorysta Borys Sawinkow stał koło komina, piastując w dłoniach niewielką paczkę.

- Zapalnik kwasowy - powiedział spokojnie. - Jeśli sięgniesz po broń, upuszczę to. Dach i dwa piętra niżej pójda do wymiany.

Przez umysł agenta przemknęła myśl. Trzy sekundy. Trzy sekundy mijały od chwili uderzenia bomby o bruk, czy na co tam została rzucona, do momentu wybuchu. Jeśli mu się uda... Ulica, gdy przyjechali, była pusta. Teraz mógł nią biec Tomasz. Mogły przechodzić dzieci. Jeśli strzeli, Sawinkow upuści bombę. Bomba stoczy się po płaszczyźnie dachu i runie w dół. Na stoczenie się zużyje co najmniej dwie sekundy. Wybuch nastąpi już na zewnątrz. Nad ulicą. Popatrzył w złośliwe oczy terrorysty.

- I co, poświęcisz kumpla? - zaciekawił się.

- Burżuazyjna etyka. Rewolucja nie zna ceny życia - prychnął pogardliwie ścigany, po czym rzucił paczkę, kryjąc się za kominem.

Bomba odbiła się od dachu i poleciała w dół. Nim doleciała do ziemi, Nikifor z rewolwerem już biegł do góry po potrzaskanych dachówkach.

Eksplozja zatrzęsała budynkiem. Rozległ się charakterystyczny odgłos pękających szyb. Podmuch obalił go na dachówki, ale nie ześlizgnął się.

Potrząsnął głową i wspinał się dalej. W chwili, gdy dotarł do komina, padł pierwszy strzał. Kula wyłupała kawałek cegły. Ukrył się, przywierając

plecami do muru. A potem wychylił się i wystrzelił trzy razy. Zobaczył, jak ścigany znika w klapie prowadzącej zapewne na strych sąsiedniego

skrzydła domu. Wypalił kilkakrotnie, ale wróg już zniknął. Nawet się nie ostrzeliwał. Zaklął pod nosem i ruszył kłusem po spadzistym dachu w stronę klapy. Niespodziewanie zobaczył, jak dachówki falują. Chwilę

później dach wybrzuszył się, a inspektor runął w wypełnioną ogniem i kawałkami desek czeluść. Zdążył jeszcze zabezpieczyć rewolwer.

Gdy doszedł do siebie, leżał na podwórzu. Klęczał koło niego lekarz.

- No, nareszcie - powiedział, a potem wstał i poszedł gdzieś.

Susłow uniósł głowę. Tomasz podszedł do niego.

- Co się stało? - zapytał ranny.

- Coś wybuchło. Poraniło ludzi na ulicy. A potem wybuchło drugi raz i zniosło dwa ostatnie piętra tego skrzydła kamienicy. Pozostałe skrzydła nadają się do rozbiórki.

- Ofiary w ludziach?

- Jedenastu zabitych. Policja jest już w drodze. Ekipa poszukiwawcza też. Wezwałem.

- Ranni?

- Ponad trzydzieści osób.

Jego twarz pozostała nieruchoma. Gdy mówił o zabitych i rannych nie odmalowało się na niej współczucie, emocja, nic...

- Popełniłem błąd. Sawinkow wyszedł na dach. Ten zafajdany anarchista odwracał tylko uwagę. Na stole były dwa talerze. Przyganiałem ci, że nie umiesz patrzeć, a sam... Ech. Parszywe życie. Szkoda ludzi.

- Ale co się stało?

- Zachowałem się jak ostatni idiota. Wyszedłem na dach za

Sawinkowem. Wtedy ta swołocz zdetonowała pierwszą bombę z brzegu.

Znaleźliście ciało?

- Tylko jakieś ochłapy. I strzęp kurtki. Z kieszeniami.

Susłow walcząc z bólem, spróbował usiąść, ale lekarz oderwał się od oczyszczania rany jakiegoś chłopca leżącego obok i pchnął go na ziemię.

- Proszę leżeć. Jest pan ranny w plecy.

- Pokaż tę kurtkę - poprosił.

Tomasz podał mu.

- Wisiała na wiązaniu dachowym. Pomyślałem, że może coś w niej będzie.

Dłonie rannego szefa zręcznie wybebeszyły kieszeń. Wydobył z niej kartkę papieru. Był na niej zamazany rysunek wykonany ołówkiem i dopisek.

Potrzeba dwadzieścia kilo

Antonow

- Popełniliśmy właśnie kolejny błąd - powiedział. - Jak sądzisz, co robili ci dwaj spryciarze w chwili, gdy ich nakryliśmy?

- No, szykowali bombę. Mieli takie różne w miskach. A jedna leżała koło stołu, no nie?

- Nie. Oni rozbierali bomby.

- Po co?

- Sawinkow chce zrobić dziurę w czymś. Potrzeba mu do tego dwadzieścia kilo trotylu. I towarzysz Antonow, najlepszy spec od materiałów wybuchowych, jaki chodzi po naszej ziemi...

- Sprawdzę, gdzie mieszka...

- To pseudonim. Towarzysz Antonow. Tylko Sawinkow jest na tyle obłąkany, że pozwolił, abyśmy poznali jego prawdziwe nazwisko. Za to

używa lewych papierów.

Na podwórze weszło kilku policjantów z wydziału dochodzeniowo - śledczego. Susłow podniósł rękę i pomachał na nich.

- Będę składał zeznania - powiedział do swojego podkomendnego. - Ty tymczasem zajmij się dalej śledztwem. Zluzuj Akimowa. W kwiaciarni znajdziesz posłańca. Masz tu dziesięć rubli na koszty operacyjne.

Będziesz wiedział, co robić?

- Tak. Śladem Sawinkowa, jeśli ktoś go widział. Wszystkich stójkowych z okolicy mam przed kamienicą. Rozpytam. Ponadto redakcja. Z centrali zdobędę zdjęcie Antonowa.

- Gdybyśmy mieli jego zdjęcie, to byłoby aż zbyt pięknie. Zabierz raczej aparat fotograficzny. Weź mój, Karl Zeiss. Jest najlepszy, nawet car takiego używa. Może uda ci się uzupełnić tę lukę. W drogę.

Dotknął ręką czoła podwładnego, jakby mu błogosławił. Ledwie tamten poszedł, podeszli do niego mundurowi. Lekarz pomagał ładować rannych do konnego ambulansu, a on składał zeznania, leżąc na ziemi.

Błoto pod jego plecami stawało się coraz bardziej czerwone od krwi, a potem lekarz mógł się nim wreszcie zająć i zaszył ranę.

*

16:34

Akimow i Wilkowski szli gorącym śladem. Pół godziny temu, dwadzieścia minut temu Sawinkowa zapamiętano. Biegł w rozpiętym czarnym płaszczu. A potem się go pozbył. Gdy piętnaście minut przed ich nadejściem wsiadał do dorożki numer pięćdziesiąt sześć, nie miał już

płaszcz.

- No to jesteśmy w kropce - powiedział Akimow. - Dorożki nikt nie zapamiętuje.

- Trzeba pomyśleć, co zrobiłby szef na naszym miejscu. Aha, już wiem.

Jeden z nas pójdzie do najbliższego cyrkułu i sprawdzi, do kogo należała ta dorożka. Potem trzeba odnaleźć jej zwykły postój, poczekać, aż wróci, i wypytać. Możesz się tym zająć?

- Dobrze. A ty?

- Poszukam płaszcza. Musiał go gdzieś tu ukryć.

- To jak szukanie igły w stogu siana.

- No co ty. Szedł ulicą. Mógł zakręcić w najwyżej pół tuzina bram. W większości są szwajcarzy. Nie wpuściliby go, a przynajmniej zapamiętaliby jego wredną mordę. Musiał upchnąć go gdzie indziej. W załom muru. Gdziekolwiek.

- Ciekawe, dlaczego w ogóle się go pozbył.

- Dowiemy się, jeśli go znajdem. Prawdopodobnie chciał zmienić swój wygląd, aby utrudnić nam pościg. Ale mógł go na przykład czymś zachlapać. Tak czy siak, coś mógł w pośpiechu zostawić w kieszeni.

- Dobrze. Ruszam do cyrkułu.

Pobiegł, a Tomasz ruszył powoli z powrotem. Przypatrywał się mijanym śmietnikom i bramom. Niespodziewanie wypatrzył świeżo wybite okienko piwniczne. Zakręcił w bramę. Ten dom był nieco podrzędniejszej kategorii. W bramie stał tylko cieć. Tomasz błysnął odznaką.

- Chciałbym rzucić okiem na wasze piwnice.

- Ależ panie naczelniku - zaprotestował cieć. - Tu nie może być nic takiego. Pilnuję.

Ale już wygrzebał klucz. Gwizdnął. Przybiegł jego syn.

- Popilnuj - polecił mu, a sam z agentem ruszył do piwnic.

Wilkowski bez wahania wybrał korytarz i niebawem znalazł się w sporej pralni. To jej okna wychodziły na ulicę. Jedno było wytłuczone.

Płaszcz, zwinięty w kłębek, leżał na ziemi. Wyszedł z piwnicy, trzymając go pod pachą. Wyjął z kieszeni zegarek i popatrzył na niego uważnie.

Doszedł do wniosku, że powinien zdążyć. Zamachał ręką na dorożkę.

- Do cyrkułu - polecił.

- Wedle rozkazu. Do którego?

- Do najbliższego.

*

16:53

Dotarł na czas. Josif Akimow właśnie wychodził.

- I co się dowiedziałeś? - zapytał.

- Nie wiedzą, jak się nazywa. Spis powinienem dostać w zarządzie gildii dorożkarzy.

- To oni mają swoją gildię? - zdziwił się Tomasz.

- Widać mają. Mam ich adres. Ale najczęściej zatrzymuje się na postoju dwie ulice stąd.

- W drogę.

- Widzę, że znalazłeś płaszcz?

- Tak. To nie było trudne. Zaraz obejrzymy go dokładniej.

Dorożka jeszcze nie wróciła z kursu. Postanowili na nią zaczekać.

Siedli na ławce koło postoju i zaczęli bebeszyć kieszenie znaleźiska. W

kieszeniach były różności. Pomięte bilety z kinematografu i

fotoplastikonu. Pobrudzona chustka do nosa, kawałek drutu oraz portfel.

W portfelu były dwa tysiące rubli.

- Cholera - powiedział Wilkowski. - Aż mam ochotę zdezerterować.

- A ja raczej mam ochotę zostać rewolucjonistą. Jeśli taki może

wyrzucić z kurtką tyle, ile zarobimy przez sześć lat...

- Czekał. Cholera, znowu daliśmy się zrobić.

- Jak to?

- Jak myślisz, dlaczego on to tam rzucił?

- Nie wiem.

- A ja sądzę, że to nie był przypadek. To są pieniądze dla kogoś.

- Dlaczego nie wręczył osobiście?

- Nie chciał naprowadzać policji na trop...

Z bocznej kieszonki portfela wyłuskał kartkę papieru.

Trotylu nie będzie. Melina spalona. Bezrodnyj nie żyje. Uruchom

swoje kontakty. Spotkamy się o dwudziestej przy moście.

B.S.

- Jasna cholera - zaklął.

- Zawaliliśmy sprawę - zmartwił się Josif. - A może by podrzucić to na

miejsce? Tamten znajdzie i...

- Hmm, zdobędzie trotyl, coś wysadzą w powietrze. Zginą ludzie.

Myślę, że wrócić tam trzeba tak czy siak. Zaczaić się na tego, co zejdzie to odebrać, a potem zapolować o dwudziestą przy moście na Sawinkowa.

- A dorożka?

- Popatrz, właśnie jedzie.

Dorożkarz zatrzymał się na końcu ogonka i, zgramoliwszy się na dół, dał koniom owsa. Poklepywał je właśnie po szyjach i coś do nich gadał, gdy wyrósł mu tuż za plecami Wilkowski.

- Można parę pytań? - zapytał błyskając odznaką.

- Dlaczego by nie? Nie mam nic do ukrycia.

Tomasz wyłowił z kieszeni zdjęcie. Zaczynało się już wycierać.

- Poznacie tego człowieka? - zapytał.

- Musi co tak. Wiozłem go dziesięć minut nazad.

- A dokąd?

- Do takiego małego hotelu niedaleko - powiedział dorożkarz.

- Jedź tam - polecił Wilkowski Josifowi. - Wezwij posiłki i zrób ścisłą rewizję całego budynku. Obsadźcie dachy. Uważajcie, może być uzbrojony. Ba, na pewno jest uzbrojony. A ja zajmę się tym cholernym portfelem w piwnicy.

- Dobra. Jak się spotkamy?

- Myślę, że skończysz pierwszy. Chociaż nie. Spotkajmy się po prostu tutaj.

- Zgoda.

Zawrócił do kamienicy, którą niedawno opuścił. Otworzył okienko do pralni i wykorzystując chwilę, gdy na ulicy nikogo nie było widać, wślizgnął się do środka. Rzucił płaszcz na ziemię i przyczał się za

drzwiami. Niklowana lufa rewolweru załśniła ponuro. Z kieszeni wyjął małą książeczkę w języku rosyjskim. Wydrukowano ją na papierze cieńszym niż bibułka papierosowa. Książeczka miała pięćset stron i nosiła budujący tytuł: "Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (Bolszewików), Tom I, 1883 - 2007". Odszukał w indeksie, na których stronach wspomniano o Antonowie. Niebawem znalazł stosowny ustęp.

"W latach 1902 - 1907 towarzysz Antonow ukrywał się w

konspiracyjnym mieszkaniu". Poniżej był adres. Nazwa ulicy i numer domu zgadzały się. Wilkowski poczuł, jak strużka potu spływa mu po

plecach.

"Zabije mnie tutaj - pomyślał. - I nadal będzie tu mieszkał. Akimow też zginie. On wiedział. Chyba, że historia jest płynna. Wówczas..."

*

17:17

Dwudziestu policjantów otoczyło hotel. Trzech przyczaiło się na dachach okolicznych domów. Mieli w razie czego strzelać do tych, którzy spróbują ucieczki górą. Akimow wraz z dziesięcioma policjantami wpadł do środka. Nikt nie stawiał oporu.

- Gdzie zatrzymał się ten człowiek? - agent pokazał fotkę recepcjoniście.

Ten obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Pokój dwadzieścia trzy - powiedział spokojnie. - Czy mogę zobaczyć nakaz?

Akimow pokazał mu figę lewą ręką (w prawej trzymał rewolwer).

Ruszyli biegiem po schodkach. Pod drzwiami numeru byli po chwili.

- Pukać? - zapytał jeden z policjantów.

- Wywalamy od razu. W razie czego strzelać.

Drzwi wypadły dopiero po którymś z kolei uderzeniu. Wpadli do środka. Był pusty. Josif zaklął. W pokoju najwyraźniej dopiero co ktoś przebywał. Na łóżku leżała świeża gazeta, otwarta na stronie z ogłoszeniami. Na krześle zrudziała czapka. Spod poduszki wydobyli nabity rewolwer. Jednak mieszkańca nie było. I tylko nieład w pomieszczeniu wskazywał, że ptaszek wyfrunął z klatki w strasznym pośpiechu, zostawiając nawet jeden kapeć.

- I co dalej? - zapytał jeden z gliniarzy.

- Ścisła rewizja! Nie mógł przecież opuścić budynku. Sprawdzić kible, piwnice i wszystkie pomieszczenia.

Rewizja trwała kilkanaście minut. Nie znaleziono nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi poszukiwanego. Akimow nie krył rozczarowania.

- Musiał spostrzec nas przez okno i uciec od tyłu. Szukaj wiatru w polu.

Trudno, jesteście panowie wolni.

Wyszedł z hotelu i ruszył na postój dorożek.

*

Sawinkow odetchnął z ulgą i rozluźnił uchwyt. Walizka z dynamitem ugniatała go w kark. Zsunął się przewodem kominowym i po chwili wylazł z kominka. Wydobył walizkę. Założył kapeć na tę nogę, która była bosa.

- Partacze - powiedział pod adresem nieobecnej już ekipy. Zauważył, że

zabrali gazetę i prawie wszystkie jego rzeczy. Zaklął pod nosem. Nie miał czasu czyścić ubrania z sadzy. Przeszedł na drugą stronę korytarza i wytrychem otworzył drzwi od sąsiedniego numeru. Mieszkańca pokoju nie było akurat w domu. Przywłaszczył sobie jego koszulę i marynarkę. Spodnie okazały się być trochę przykuse. Wymknął się od tyłu.

*

18:01

Wilkowski czuwał. Czas mijał wolno. Dwa razy usłyszał kroki na piwnicznym korytarzu. Za każdym razem idący mijał drzwi od pralni.

Gdy już prawie zwątpił, usłyszał kolejne dźwięki. Ktoś się skradał. Szedł

cicho, starając się nie robić hałasu, i może właśnie dlatego było go dobrze słychać. Rewolwer w ręce agenta był odbezpieczony od dawna. Tak na

wszelki wypadek, żeby nie zdradzić swojej kryjówki trzaskiem

odwodzonego bezpiecznika. Klucz cicho wsunął się w dziurkę. A potem

zachrobotał zamek. Ten, który wszedł, ubrany był w papachę i skórzaną

kurtkę. Wilkowski wykorzystał dogodny moment i trzasnął nieznanego

kolbą rewolweru w tył głowy. Cios był na tyle silny, że powaliłby bez trudu nawet goryla, ale przybysz opadł tylko ciężko na jedno kolano, a potem

poderwał się i niespodziewanie zadał pięścią miażdżący cios. Celował w

serce Tomasza, ale ten w ostatniej chwili uskoczył. Kolejnego ciosu

jednak nie zdołał uniknąć. Pięść trafiła go między oczy i zwałił się na

ziemię. Gdy leżał, otrzymał kopniak. Rewolwer zgubił już wcześniej. A

potem stracił przytomność.

*

18:15

Doszedł do siebie, gdy ktoś nim potrząsnął. Akimow. Ciec stał obok.

- Co się stało? - zapytał przyjaciel.

- Przyszedł - powiedział Tomasz. - Zaskoczył mnie.

- Ciebie? - zdziwił się Josif.

Jego zdziwienie było ogromne. Wilkowski obmacał swoje ciało. Było

bardzo obolałe, ale wyglądało na to, że nie poniósł poważniejszego

uszczerbku na zdrowiu. Koszule znaczyło kilka ciemnych plam z

pękniętych wrzodów, ale nie przesiąkały przez mundur.

- Jak ci poszło? - zapytał.

- Wymknął się wcześniej. Co robimy dalej?

- Dobrze. Kto to jest ten, który na mnie napadł? - zapytał cecia.

- Musi pan Antonow. Godzinę temu poszedł na miasto z jakimś

pakunkiem. Bardzo mu się śpieszyło.

Wilkowski zaczął myśleć nieco szybciej. Obmacał się po kieszeniach.

Rewolweru nie było, za to dwa tysiące rubli tkwiło na miejscu (portfel

wraz z kartką umieścił w kieszeni płaszcza, a płaszcz zniknął wraz z

Antonowem).

- Dobrze. Chcielibyśmy rzucić okiem na mieszkanie tego Antonowa.

Swoją drogą, żeby zameldować się pod pseudonimem...

- Zapewne po to ma pseudonim, żeby pod nim mieszkać - zauważył

drugi agent.

- Nie pomyślałem o tym. Antonowów jest pewnie w Petersburgu

kilkuset.

- Chcemy zobaczyć jego mieszkanie - ponownie zwrócił się do cecia.

Cieć zmrużył oczy.

- Tak bez nakazu...

Wilkowski wręczył mu zielony, trzyrublowy banknot. Wargi ciecia wygięły się w szerokim, szczerym, słowiańskim uśmiechu.

- No to zaprowadzę.

Niebawem stanęli na najwyższej kondygnacji. Drzwi wyglądały zupełnie zwyczajnie, ale Tomasz stał już tego dnia przed zupełnie zwyczajnymi drzwiami, za którymi czekał go widok fabryki dynamitu.

- Mieszka sam? - zapytał.

- Musi co tak.

Akimow wyjął wytrychy i zaczął dłubać w zamku. Nagle przerwał i palnął się z całej siły w czoło.

- Co się stało? - zaniepokoił się jego kumpel.

- Oż ja idiota.

- Osa ci siadła?

- Jaka tam osa. Sawinkow.

- Co Sawinkow?

- Nie mogliśmy otworzyć drzwi jego pokoju i wyważyliśmy je. A on przecież... Okno było zamknięte.

- Mów po ludzku.

- Szef mnie zabije.

- Mów. Pomogę mu.

- Jak szliśmy brać Sawinkowa, drzwi były zamknięte od środka na klucz. I klucz tkwił w zamku. A okno było zamknięte. On tam był.

- Cholera! Obaj zawaliliśmy. Czekał, a gdzie ci się schował? Do wersalki?

- Nie, do wersalki zajrzałem. Musiał poleźć w górę przewodem kominowym. Tam był duży komin.

- Dobra. Otwórz te drzwi. Potem będziemy się martwić.

Zamek szczęknął i drzwi stanęły otworem. Mieszkanie urządzone było ascetycznie. Stół, krzesło, łóżko nakryte pasiastym materacem. Pod łóżkiem poniewierała się brudna koszula i pudełko pasty do butów.

- Chyba się wyprowadził - zauważył Wilkowi.

Akimow podszedł do żeliwnego piecyka typu koza i otworzył z rozmachem drzwiczki. W piecyku leżał stos spalonych papierów.

Próbowali wyciągać je delikatnie, aby odczytać, ale nie udało się to zupełnie.

- Nie możemy podjąć tu żadnego dalszego tropu - zdenerwował się Tomasz.

Jego towarzysz pochylił się i wygarnął spod łóżka koszulę i pudełko po paście. Oglądał je przez chwilę.

- Coś jest?

- Nic. Nie ma na nich ani znaczków z pralni, ani żadnych innych wskazówek. Pasta jest fabryczna, niemiecka.

- Hmm. Można by sprawdzić, kto ją sprowadza, w jakich sklepach jest dostępna.

- Tu, na dole za rogiem - powiedział ciec, stojąc w drzwiach.

Zapomnieli o nim. Akimow popatrzył w zadumie na pudełko, a potem

na zniszczone półbuty dozorczy.

- Może ci się przyda - podał mu pudełko. - Gdyby ten gość wrócił, to trzeba zameldować.

- Tak jest, panie naczelniku.

Wyszli na ulicę. Wilkowski wyłowił z kieszeni zegarek.

- Późno się zrobiło - powiedział. - Co dalej?

- Do ósmej trochę czasu. Chyba trzeba odwiedzić redakcję.

- Jeśli tam kogoś zastaniemy.

- Myślę, że jeśli się pośpieszymy, to mamy duże szanse zdążyć.

- Dobra. Po drodze wpadnę do centrali. Trzeba zrobić więcej odbitek

Sawinkowa. Szkoda, że nie mamy żadnego zdjęcia Antonowa.

- Szkoda. Trzeba będzie przysłać do tego ciecica rysownika. Portret będzie lepszy niż nic.

*

18:39

Nad Petersburgiem zapadł wczesny, wiosenny wieczór. Otwarto nocne lokale i restauracje. Część mieszkańców udała się na spoczynek, inni dopiero teraz wstali. Pościg za nieuchwytnym Borysem Sawinkowem trwał. Jego fotografie odbito w tysiącu egzemplarzy i rozdano agentom i policjantom. Nim zegary wybiły szóstą, miasto pokryła gęsta sieć, w którą wcześniej czy później coś musiało wpaść. Obaj agenci ruszyli do redakcji. Mieściła się ona w sporym budynku przy Sadowej. Przez chwilę studiowali wiszącą koło drzwi tabliczkę. W tym momencie drzwi otworzyły się i wybiegł z nich mężczyzna w szarym, rozpiętym płaszczu.

Pod płaszczem miał marynarkę. W półmroku błysnęła na chwilę dewizka z dwudziestoczerokaratowego złota. Spojrzenie nieznajomego było pełne niechęci. Weszli do sieni, gdzie znajdowała się także portiernia. Rosły szwajcar polerował kawałkiem lnianego płótna spory samowar.

Wilkowski odczytał wybitą na nim gmerkę.

Aleksiej i Iwan Bataszewy.

Tula

- Kim był ten mężczyzna, który stąd przed chwilą wyszedł? - zagadnął.

Portier obrzucił ich ciężkim spojrzeniem.

- To zależy, kto pyta - powiedział ponuro.

Odnaki Ochrany zaśniły lekko, łapiąc zajaczką światła lampy, odbitego w złocistym korpusie samowara. W odpowiedzi okazał taką samą.

- To profesor Michaił Michajłowicz Filipow - powiedział.

- Myślisz? - zapytał Akimow Wilkowskiego.

- Prawdopodobne. Nie ma pan jakiegoś zdjęcia profesora? - zagadnął portiera.

Ten bez słowa sięgnął w zanadrze i wyłowił jedną odbitkę, wykonaną na cienkiej tekturce.

- Proszę.

- Można zatrzymać?

- Ależ oczywiście. Tyle że inwigilacją profesora zajmuje się agent Szurko.

- Na pewno nie wejdziemy mu w drogę. Gdzie znajdziemy redakcję

"Przeglądu Naukowego"?

- Na piętrze i na lewo. Ale nikogo już o tej porze nie ma. Profesor był ostatni.

Akimow poskrobał się z frasunkiem po głowie.

- Niedobrze. Potrzebowalibyśmy jednego numeru tego pisma.

Portier zdjął z głowy czapkę i włożył ją na głowę Wilkowskiemu.

- Zastąp mnie przez chwilę.

W towarzystwie drugiego agenta wszedł na górę. Z kieszeni wyciągnął klucz. Przez chwilę majstrował nim w zamku i wreszcie otworzył drzwi.

Weszli do środka. Stos nowiutkich numerów leżał zaraz koło drzwi.

- Wot i są. Siedemdziesiąt kopiejek - dodał, wskazując sporą puszkę

stojącą na biurku. Agent wrzucił należność i wzięwszy jeden numer,

wyszedł na korytarz. Portier starannie zamknął drzwi. Pożegnali się na

dole i wyszli z redakcji.

- I co dalej? - zapytał Josif.

Jego kumpel zastanawiał się przez chwilę.

- Wrócisz do parku, tam, gdzie znaleźliśmy łódkę. Poszukasz pijaka i

zapytasz go, czy ten tu na zdjęciu i ten, który gadał z Sawinkowem, to ten

sam. Ja tymczasem zaznajomię się z tą gazetką. Spotkamy się za godzinę

w biurze.

- Jeśli nie znajdę?

- No cóż, rozejrzyj się po okolicznych knajpach. Tylko uważaj, żeby ci

nie rozbili głowy. Tam nie lubią policji, a zwłaszcza tajnej.

*

19:02

Ścisnęli sobie dłonie i rozstali się. Tomasz pojechał prosto do biura.

Wszedł w sam środek niezłego zamieszania.

- Minister przyjechał - szepnął mu w przelocie magazynier.

- Minister? - zdziwił się Wilkowski.

Ruszył różnym krokiem do gabinetu Susłowa, gdzie chwilowo stało także jego biurko. Jego koledzy po fachu odprowadzali go dziwnymi spojrzeniami.

- No co się gapicie? - zapytał zdenerwowany, po czym otworzył drzwi i wszedł do środka. A potem poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. W gabinecie Susłowa, paląc jego cygara, siedzieli: wiceminister spraw wewnętrznych, szef korpusu żandarmów generał Kurlów i dyrektor departamentu policji Łopuchin. Obaj utkwili w nim spojrzenia pełne totalnej pogardy i niechęci. Pierwszy przemówił generał.

- Nareszcie ktoś się zjawia! - huknął. - Czekamy ponad dwadzieścia minut!

- Wybaczcie, wasze swastielstwa, byłem w terenie.

- Taak. Kiedy otrzymam raport? - ryknął Łopuchin. - Co wy sobie wyobrażacie, że gdzie jesteście? Trzy godziny temu wylatuje w powietrze cała kamienica, a wy ani be, ani me. Mundurowi przesyłają mi notatkę.

- Wybaczcie, ścigałem Sawinkowa...

Generał skoczył na równe nogi. Wyrwał agentowi spod pachy gazetę i rzuciwszy na nią okiem, cisnął na podłogę.

- Skandal! - wrzasnął. - My wam płacimy za efekty, a nie za czytanie na

służbie! Inteligent, psia krew. Nie umiecie złapać jednego zawszonego terrorysty.

- Obrana przez nas droga działania przyniosła efekty. Nakryliśmy go w tamtym budynku.

- Milczeć! Było jedenaście ofiar śmiertelnych. Dziesięć osób leży w szpitalu, w tym także twój szef. To ma być prawidłowa droga waszych działań? Przynosicie wstyd całej Ochronie. Napiszecie raport.

Szczegółowy raport. A potem możecie czuć się zwolnieni. Ty i ten cały Susłow. A co do tego idioty Akimowa, to jeszcze się zastanowimy.

Poderwali się jak na komendę i wyszli. Tomasz Wilkowski padł na kolana i objął głowę rękami. Z korytarza dobiegł głos jednego z urzędników.

- Ty. Wyglądasz całkiem inteligentnie. Nazwisko i stopień.

- Starszy Agent Czyszkow.

- Przejmiesz sprawę Sawinkowa. Dorwać to bydlę. Zastrzelić. Pięćset rubli nagrody!

Wilkowski poczuł kawał lodu gdzieś we wnętrzościach. Powoli opadł na dywan. Płakał. Wyjął z kieszeni książeczkę. Przekartkował i zaczął czytać fragment dwudziestego ósmego rozdziału.

Badania nad rozszczepieniem atomu wymagały ogromnych pieniędzy. Borys Sawinkow nie był w stanie zgromadzić takiej kwoty samodzielnie. Dlatego też nawiązał współpracę z towarzyszem Antonowem, najlepszym wówczas specjalistą od materiałów wybuchowych. Do spotkania doszło na jednym z mostów na Newie.

Tam też Sawinkow wręczył Antonowowi dwadzieścia kilogramów trotylu, wyprodukowanego przez późniejszego komisarza ludowego, towarzysza Bezrodnego.

- Na którym moście? - zapytał nieobecnych autorów.

Ogarniała go senność. Próbował jeszcze przez chwilę z nią walczyć, ale potem poddał się. Opadł na dywan i zasnął.

*

19:40

Obudził się, gdy ktoś delikatnie nim potrząsnął. Otworzył sklezione oczy. Susłow. Na szyi wystawał mu znad kołnierzyka biały bandaż.

Skaleczenie na policzku zajodynowano mu w szpitalu i lekko przypudrowano krochmalem. Wyglądało na to, że czuje się lepiej.

- Był minister - szepnął.

- Wiem - odpowiedział jego przełożony. - Mamy się czuć zwolnieni. Ale nie ma naszego kierownika. Nie ma nam kto wypisać zwolnień, czy jak to tam nazwać.

- Co to znaczy?

- Och, mamy jedyną unikalną szansę, aby mimo wszystko zostać przy tej robocie. Wiesz, co mam na myśli?

- Nie.

- Akimow powiedział mi o portfelu i kartce. On zresztą miał pecha.

- Co się stało?

- Wpadł ministrowi pod nogi. Siedzi w areszcie. Jemu też możemy pomóc.

- W jaki sposób?

- Za dwadzieścia minut Sawinkow i Antonow spotkają się koło jednego z mostów na Newie. A my ich złapiemy. Albo zastrzelimy.

- Sami?

- Niestety tak. Czyszkow odmówił pomocy. Poinformowałem go o wszystkim. On teraz prowadzi sprawę.

- Może niedobrze się stało.

- Musiałem go poinformować. Złapanie tego drania jest ważniejsze niż nasza kariera. Ale za to mamy odmienne poglądy na to, przy którym moście się spotkają.

- A nie byłoby najprościej obsadzić wszystkich?

- Sugerowałem mu to. Nie chce zawracać głowy mundurowym.

Typowo niewolnicza mentalność. Nie uznaje pracy w grupie. Wszystko dla zwycięzcy. Dla jednego zwycięzcy i to tylko pod warunkiem, że to będzie on.

Zgarnął ze stołu pudełko z cygarami i wyszli.

*

20:12

Tłum przewalał się po bulwarach. Od Newy ciągnęło chłodem. Dwaj agenci siedzieli w niewielkiej kawiarence przy stoliku pod markizą i wodzili wzrokiem po dostępnym im kawałku ulicy. Z pozoru nic się nie działo. Niespodziewanie atmosfera trochę stężała. Nadjechała dorożka i zaparkowała koło mostu. Z dorożki wysiadł agent Czyszkow.

- Cholera - powiedział Susłow. - Szlag mnie zaraz trafi. Szkoda, że nie

ogłosił swojego przybycia w gazetach.

Koło nabrzeża pojawiło się kilku kloszardów. Wyglądali niezbyt naturalnie.

- Jednak potrafi pracować w zespole.

- Tak. Jak cholera.

Stopniowo ilość nienaturalnie wyglądających osób zwiększyła się. I wtedy przyszedł Sawinkow. Miał na sobie płaszcz. Pod pachą dzierzył niedużą paczkę.

- Sądysz, że to bomba? - zapytał Tomasz.

- Na pewno. Ciekawe, czy nasz drogi przyjaciel ma to na uwadze.

Tomasz poczuł lekkie zdziwienie. Pomyślał, że skoro Bezrodnyj został zabity, to Sawinkow nie powinien mieć przy sobie trotylu. Chyba, że miał gdzieś zapas albo historycy, piszący książeczkę, którą piastował w kieszeni, popełnili jakiś błąd. A potem pomyślał o płynności historii i poweselał.

Sawinkow stanął sobie koło latarni i zaczął spokojnie czytać gazetę.

Minęła już umówiona pora. Tłumy stopniały i tylko coraz więcej nienaturalnie wyglądających mężczyzn zapełniało ulicę. Terrorysta nie zwracał na to uwagi.

- Albo oślepl, albo nadmiar wybuchów zaszkodził mu na głowę, albo zbyt zależy mu na spotkaniu, aby się przejmować drobiazgami - powiedział Nikifor.

- Dwudziestu gliniarzy po cywilnemu to drobiazg?

- Myślę, że jest ich więcej.

W tym momencie nadjechała dorożka. Pojawiła się na skraju ich pola widzenia. Od umówionej godziny spotkania minęło już piętnaście minut.

W tej właśnie chwili Czyszkow, widocznie znudzony oczekiwaniem, wy dobył z bramy pięciu umundurowanych policjantów i ruszył ostrym krokiem w stronę Sawinkowa.

- Cholera, on go aresztuje? - zdziwił się Wilkowski.

Snujący się dotąd beczynnie agenci po cywilnemu zacieśnili szeregi, otaczając Sawinkowa dwoma półokręgami. Przyparli go do nabrzeża.

Średnica mniejszego kręgu wynosiła jakieś trzydzieści metrów, średnica większego - blisko pięćdziesiąt. Sawinkow z niedbałym wdziękiem odrzucił gazetę. Nadjeżdżająca dorożka ustawiła się bokiem. Terrorysta

uśmiechnął się i cisnął ku biegnącym w jego stronę policjantom swoją paczkę, a sam przeskoczył przez barierkę. Zapewne wpadł w odmęty rzeki, ale wszystko zagłuszył gwałtowny wybuch. Odłamki rzekomej

paczki, ciągnąc za sobą krótkie ogonki dymu, rozprysły się na wszystkie strony, rażąc stojących najbliżej. Ci, którzy stali dalej, pozbierali się

natychmiast. Powyciągali z kieszeni rewolwery i ruszyli biegiem w stronę balustrady, chcąc najwyraźniej zastrzelić terrorystę, gdy tylko jego głowa

pojawi się na powierzchni. Reszta publiki właśnie wiała, gdzie pieprz rośnie. Drzwiczki dorożki otworzyły się z trzaskiem i wyrzała z nich lufa

karabinu maszynowego Maksima. Susłow skoczył na Wilkowskiego i ściągnął go na ziemię, sam padając. Ten, który siedział w dorożce, pruł z

karabinu do wszystkiego. Część pocisków poleciała w głąb ulicy. Część poraziła agentów rozsypanych wzdłuż nabrzeży. Część uderzyła w mur i

szyby wystawowe. A potem dorożka ruszyła naprzód. Zakreśliła na most.

Karabin odezwał się znowu. Wilkowski uświadomił sobie jak przez mgłę, że jego szef stoi w rozkroku i z dwu pistoletów strzela do śmiercionośnego powozu. Po drabince, prowadzącej znad wody na most, gramolił się Sawinkow. Wskoczył do dorożki. Ta natychmiast ruszyła naprzód. Teraz także ci agenci, którzy przeżyli masakrę, zaczęli strzelać. Susłow dotknął ramienia swojego pomocnika. Wilkowski syknął z bólu. Palce zwierzchnika zapadły się lekko w tkankę, miażdżąc ją. Przez kilka dni będzie miał w tym miejscu paskudne siniaki, albo nawet powstaną kolejne owrzodzenia.

- Znikamy. Lepiej, żeby nas przy tym nie było.

- Powinniśmy spisać protokół.

- Nie. Lepiej, jak znikniemy. Jeśli Czyszczow przeżył, to zwali całą winę na nas. A tak, nie było nas tu. Wyrzucono nas ze służby dwie godziny temu.

- Chyba podoba mi się takie rozwiązanie.

Koło mostu złapali dziadka z łódką, aby przewiózł ich do parku, koło którego przywiązana była od rana łódka z niebieskim paskiem. Z krzaków koło łódki dobiegał śpiew. Susłow zajrzał tam. Na gołej ziemi, z butelką w objęciach, leżał poznany w południe pijaczek. Na widok byłego agenta troszkę oprzytomniał.

- Ja już mówiłem waszemu przyjacielowi, że ten ze zdjęcia i ten z dewizką to ten sam - wyjaśnił.

Susłow wręczył mu dziesięć kopiejek i wrócił do łódki.

- Kogo miał sprawdzić Akimow? - zapytał. - Pijaczek mówi, że to ten

sam.

- Profesora Michaiła Michajłowicza Filipowa. Człowieka, który wydaje

"Przegląd Naukowy". A przy okazji: artykuł, który został wyrwany z numeru w bibliotece uniwersyteckiej, jest jego autorstwa.

- Michaił Michajłowicz Filipow. Profesor Filipow. Pseudonim Misza.

Podejrzewany o dostarczenie trotylu, który zabił cara Aleksandra... Nu

ładno.

- Właściwie to układanka nam się zamknęła. Sawinkow chciał kupić od

niego trotyl. Nie udało się, więc poszedł gdzie indziej.

- Tylko co ma do tego ten artykuł? Nie, myślę, że było inaczej.

Sawinkow przeczytał tam o czymś i zapragnął to mieć. A trotyl załatwia w

innym celu lub ma to jakiś związek...

- Pomyślimy o tym?

- Jutro. Zresztą nawet nie musimy. Wylali nas przecież z roboty. Ale

możemy sprzedać informację tym, którzy chodzą za profesorem.

*

21:47

Rzeka Mojka była wąska, ale wody wystarczyło dla niewielkiej szalupy,

wyposażonej w silnik parowy. Szalupa zatrzymała się przed niewielkim

pałacem. Wówczas na jej pokład wyszedł mężczyzna w marynarskim

mundurze pozbawionym dystynkcji. Przeszedł sprężystym krokiem po

trapie. Z wyglądu bardzo przypominał cara, tylko oczy miał ciemne, a nie

szare. Z bliska widać było także, że od swojego koronowanego kuzyna

różni go krój brody. Był też odrobinę wyższy. Wszedł po kilku schodkach.

Drzwi pałacu otworzyły się przed nim. Wszedł do środka. Służący

zasalutował. Oddał salut.

- Czeka, Wasza Wysokość - powiedział.

Człowiek w mundurze skinął głową. Schody zadudniły, gdy po nich

wbiegał. Na piętrze w holu spotkał jednego ze swoich znajomych. Ścisnęli sobie ręce.

- Czeka - powiedział znajomy.

- Nie każmy mu długo czekać.

Weszli do biblioteki. Siedzący za stołem mężczyzna podniósł się z

krzesła.

- Grigorij Samsonowicz Szurko - przedstawił się. - Zakładam, że mam

przyjemność z Waszą Wysokością Księciem Aleksandrem

Michajłowiczem Romanowem, a pan zapewne jest Pawło Miedwied,

konsultant naukowy...

- Zgadza się - powiedział książę. - Proszę siadać.

Siedli. Służący wniósł samowar i szklanki. Nalali sobie herbaty. Na

srebrnej tacy wniesiono kruche ciasteczka. Były jeszcze ciepłe.

- Wasza Wysokość wyraził chęć spotkania ze mną - powiedział agent. -

Jeśli mógłbym dowiedzieć się, w czym mogę pomóc...

Książę przełknął łyk herbaty.

- Mam pewien problem. Zakładam, że pan zajmuje się stałą inwigilacją

profesora Filipowa?

- Hm, właściwie tak, ale nie jest to stała inwigilacja. Po prostu od czasu

do czasu kontrolujemy, co robi nasz drogi uczonec i w jakich środowiskach

się obraca.

- Zapewne wiecie, z kim spotkał się dziś rano?

- Obecnie w ramach moich obowiązków ścigam psychopatycznego mordercę. Ale wiem, że profesor spotkał się dziś rano z niejakim Borysem Sawinkowem.

- Zatem nasze informacje pokryły się. Wiem także o strzelaninie sprzed godziny. Miałbym propozycję.

- Słucham.

- Zaproponowałbym panu pracę u mnie. Zajęcie byłoby to samo.

Śledzenie profesora. Tyle tylko, że od dziś chciałbym znać każdy jego krok. Oficjalnie mogę zatrudnić pana jako konsultanta wywiadu marynarki wojennej.

Przez twarz Szukowa przeleciał lekki uśmiech.

- Wasza Wysokość raczy darować, ale nie skorzystam z tej propozycji.

Śledzenie jednego człowieka jest bardzo nużące, a ja lubię zmienność. Ale mogę zaproponować człowieka odpowiedniego do tego zadania.

- Tak?

- Agent Nikifor Susłow i jego pomocnik agent Tomasz Wilkowski zostali dzisiaj zwolnieni ze służby. Myślę, że praca dla Waszej Wysokości stanowić będzie dla nich ciekawą perspektywę.

Księżę popatrzył na niego uważnie.

- Czy zostali zwolnieni za błędy w kierowaniu akcją podczas tej koszmarnej masakry?

- Nie. Ale ich informacje okazały się dobre. Istotnie, tam na bulwarze

mieli wyznaczone spotkanie dwaj najwięksi terroryści naszych czasów:

Borys Sawinkow i Antonow.

- On nie ma imienia?

- Ma ich tyle, że trudno się na któreś zdecydować. Antonow przyjechał dorożką z karabinem maszynowym Maksima. Stąd osiemnaście ofiar śmiertelnych i czterdziestu rannych.

- Gdzie znajdę Susłowa?

- Mieszka chyba gdzieś na Aptekarskim Ostrowie, ale jest tak zakonspirowany, że nawet u nas w centrali nie mamy jego adresu.

Brwi księcia uniosły się w zdumieniu.

- No trudno, poszukamy. Gdyby jednak wrócił po jakieś swoje rzeczy, proszę go do mnie skierować.

- Tak jest, Wasza Wysokość.

Wtorek, 9:05

Dwaj byli agenci siedzieli sobie w łódce, kołyszącej się na Newie. Z miejsca, w którym zakotwiczyli, mieli wspaniały widok na Twierdzę Szliselburską, kryjącą w swoim wnętrzu ciężkie więzienie. Fale łagodnie kołysały korkowym szaławikiem. Na wędkę nic się nie chciało złapać.

- I to po pięciu latach wiernej służby - powiedział w zadumie Nikifor Susłow, gasząc niedopałek cygara o burtę.

- A ja nawet nie zdążyłem dobrze zacząć - dorzucił ponuro Tomasz Wilkowski.

- Wybacz, to wszystko moja wina.

- Nie, szefie. Dużo się nauczyłem. Z pewnością nie popełniliśmy błędu.

- Popełniliśmy. Musiało mi odbić, żeby zostawić skutego anarchistę razem z jego bombami i wyłazić na dach. Wystarczyło obstawić kamienicę i wykurzyć go, przeczesując budynek. Zresztą ty dałeś się zaskoczyć Antonowowi, a Akimow nie zauważył klucza od środka zamku.

- Żaden z nas nie jest bez winy.

- Żaden.

Podrapał się po szwie na ręce. Wilkowski w zadumie czytał po raz dziesiąty z rzędu artykuł, który był przyczyną całego zamieszania. Dzień był ciepły, prawdziwie wiosenny. Susłow pocił się w koszuli i zawinął rękawy aż za łokcie. Wilkowi tylko rozpiął mankiety. Gdy zarzucił wędkę, rękaw opadł i Nikifor przez chwilę widział kawałek wielocyfrowego numeru, wytatuowanego na przedramieniu kumpla.

Tomasz poczuł chyba jego wzrok, bo zaraz spuścił rękaw i zapiął mankiety.

Znowu zabrał się za czytanie.

"Udaje, że czyta" - pomyślał jego szef. - "Zna to na wrywki, a w dodatku wie jeszcze coś."

- Rzuć to - poradził mu Susłow. - Przecież i tak nic z tego nie rozumiemy.

- Może jak przeczytam jedenasty raz...

- Gdy przeczytasz jedenasty raz to badziewie, to nagle spostrzeżesz, że rozumiesz, ale ty nie będziesz rozumiał. Ty po prostu nauczysz się go na pamięć. Możesz jeszcze raz streścić go własnymi słowami?

- Z grubsza mówi o pracy jakiejś polskiej chemiczki.

- Ty też jesteś Polakiem. Powinieneś to lepiej rozumieć niż ja, prymitywny Azjata z wielkich lasów północy.

- Odkryła nowy pierwiastek.
- Tak. Nazywa się rad. Świeci w nocy. Co z tego. Mój zegarek też świeci.
Powleczony jest fosforem.
- Ten pierwiastek jest radioaktywny.
- Radio. Słyszałem. Rychnowski, Popow i Marconi. Telegraf bez drutu.
Fale, którymi można przesyłać dźwięk. A ten pierwiastek to chyba do majstrowania takich aparatów. Swoją drogą, to lepiej by się zabrali za poprawianie telefonów. Takie pożyteczne urządzenia.
- Ten pierwiastek świeci i emituje fale dlatego, że się rozpada. To znaczy, jego atomy rozpadają się na mniejsze drobiny albo w ogóle na nic i dlatego świeci.
- Choroba. Żebym jeszcze wiedział, co to te atomy.
- I możliwe, że są też inne takie, które się rozpadają, bo są radioaktywne.
- Choroba. A to zachwostka. I co jeszcze?
- Rozpadają się powoli. Ale można jakoś je przyspieszyć.
- To znaczy, że wezmą kawałek węgla, naradiują go falami, a potem on się rozpadnie i zaświeci?
- Chyba tak.
- Idioci z tych naszych uczonych. Nie prościej jest węgiel zapalić? Też zaświeci, a i fal swoich radiowych zaoszczędzą.
- Jak się rozpadnie naraz to wydziela setki razy więcej energii niż trotyl.
- Bomba atomowa... Nowa cudowna broń...

Wilkowski wbił wzrok w artykuł. Wędką drgnęła, a potem znowu znieruchomiała. Na rzece pojawiła się nieduża kanonierka.

- Swoją drogą, to życie nie jest takie złe - powiedział w zadumie

Susłow. - Ile ci zostało pieniędzy?

- Prawie sto rubli. Nie licząc dwu tysięcy zdobycznych

- Tak. Na trzy miesiące ci wystarczy. Ja mam dwieście, to potem ci

pożyczę. Zdobyczne powinniśmy właściwie oddać, ale tak nierozsądne

decyzje trzeba dobrze przemyśleć. No, chyba że znajdziemy robotę.

- Może poszukajmy?

- Ba, tylko gdzie? W Ochranie nie przyjmą nas z powrotem. Do policji

nie wezmą, nie zapominaj, kto nam dał tego kopa w zadek. W armii

potrzebują ludzi zdyscyplinowanych, a my jesteśmy indywidualistami i w

dotatku jeszcze parę dni, a rozleniwimy się do reszty.

- Może zostaniemy rybakami? Mamy łódkę...

- Nie zapominaj, że nie jest nasza. Jeszcze nas policja wodna dorwie,

choć po prawdzie nieboszczyk nie będzie się o nią upominał, ale pewnie

są jacyś spadkobiercy.

- Może ją kupimy.

- Zapomnij o tym. Co z nas za rybacy? Od dwu dni nie złapaliśmy ani

jednej ryby.

- Może siecią będzie lepiej łapać.

- Wiesz, to jest tak, że jak ktoś nie ma do czegoś talentu, to nie

powinien się za to brać.

- Może wstąpimy do straży bankowej. Tam pewnie jest teraz redukcja

etatów...

Nikifor przypomniał sobie wypadki sprzed dwu dni i uśmiechnął się.

Tej nocy, gdy zostali wyrzuceni z Ochrazy, Sawinkow ze swoimi towarzyszami obrobili bank. Wysadzili ścianę między kanałem ściekowym a umieszczonym w piwnicy skarbcem. Policja miotła się na górze, a oni spokojnie wynosili worki z pieniędzmi. Pół miliona rubli.

Wilkowski w zadumie poskrobał się po nosie.

- A może zgłosimy się do socjalistów? Wzięli sporo pieniędzy, sypniemy im wszystkich naszych współpracowników...

- Niegłupi pomysł, tyle tylko, że niezbyt etyczny.

- Nieetyczny.

Tomasz poparzył na kanonierkę, która szła w ich stronę pełną parą.

- A może wywiad wojskowy?

- Hmm... Może i niegłupi pomysł. Zwłaszcza, jak się zna chiński lub japoński. Tam się zaczyna kotłować. Zresztą, w najgorszym razie zostaniemy tragarzami. Podobno żadna praca nie hańbi, choć z drugiej strony ja osobiście nie mam ochoty zostawać katem, czy takim od kanalizacji. Z pewnością bylibyśmy znakomitymi kryminalistami. Znamy wszelkie metody, których by użyto, aby nas przyskrzynić... Choć to oczywiście także budzi moją odrazę.

Kanonierka zwolniła i zaczęła zataczać koło.

- Chyba trzeba będzie pomyśleć o marynarce - powiedział Wilkowski.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Popatrz, zaraz nas capną. Wyraźnie szykują się do abordażu.

Susłow usiadł gwałtownie. Łódka zakołysała się.

- To nie te czasy - powiedział. - Za Mikołaja Pierwszego robili branke do floty, ale teraz żyjemy w dwudziestym wieku.

- To czego od nas chcą? Mamy im posłużyć za żywe cele, a oni wypróbują pokładową artylerię?

- A cholera wie.

- A może się zbuntowali i teraz chcą wyrównać rachunki z jakimikolwiek przedstawicielami władzy?

- Nie żartuj. Po pierwsze, skąd by wiedzieli, że to my, po drugie, gdyby się zbuntowali, to wciągnęliby inną banderę na maszt. Po trzecie, nie pracujemy już w Ochronie.

- Aha. To mnie uspokoiłeś. A dlaczego do nas płyną?

- Ta łódka z niebieskim pasem jest bardzo charakterystyczna. Może ten zaszlachtowany dziadek sprzedawał im wódkę?

- Swoją drogą, to daleko się zapuścili.

- Płaski statek, mógłby przejść pod mostami. Chyba.

Susłow wpatrywał się w manewry kanonierki. Przy burcie pojawił się człowiek z kilkoma chorągiewkami i nadał nimi jakiś sygnał.

- Co on nadaje? -zaciekawiał się jego kompan.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Dobrze parę lat tu pracuję, a Sankt Petersburg jest, jakby nie patrzeć, portowym miastem, ale sprawy marynarki uchodzą zazwyczaj mojej uwadze. Czasami wprawdzie były problemy z krążącymi między marynarzami agitatorami różnych takich. I raz z przemytnikami.

Człowiek na kanonierce, widząc, że nie rozumieją komunikatu,

wychylił się przez burzę.

- Podpłyńcie! - krzyknął.

- Odwal się - poradził mu Susłow i położył się w łódce, udając, że zapada w drzemkę.

Na pokład okrętu wszedł jakiś człowiek w paradnym mundurze.

- Czy to aby rozsądne? - zaniepokoił się Wilkowski.

- Przecież nie będą do nas strzelali.

W tym momencie na lewo od łódki wystrzeliła fontanna wody, a w sekundę później do ich uszu doleciał huk wystrzału. Susłow poderwał się energicznie i, wykonawszy w stronę kanonierki kilka obraźliwych gestów, porwał za wiosło i zaczął nim intensywnie wymachiwać w wodzie. Łódka jednak nie posuwała się do przodu ani trochę. Wilkowski obserwował swojego pryncypała przez chwilę i doszedł do wniosku, że były agent tylko udaje przerażenie. Zastanawiał się przez chwilę, czy ma go naśladować, ale nim zdążył cokolwiek zrobić, kanonierka dogoniła ich. Fala, którą wywołała, prawie wywróciła ich łódkę. Zdołali nad nią zapanować niemal cudem, a w chwilę później kilka par silnych, marynarskich dłoni wykręciło im ręce do tyłu i wywindowało na pokład. Człowiek w paradnym mundurze marynarki wojennej, który podczas taranowania stał na dziobie, zszedł teraz na pokład i popatrzył na nich uważnie.

Wilkowski poznał go. Zresztą Susłow także natychmiast zorientował się, kogo ma przed sobą. Był tylko jeden człowiek, który był wystarczająco szalony, aby uganiać się kanonierką po Newie za dwoma agentami

wyrzuconymi z Ochrony. I tylko jeden człowiek na tyle odważny, by

strzelać z dział w samym środku miasta. Kuzyn cara, Wielki Książę

Aleksander Michajłowicz Romanow. Ręce, które przytrzymały

agentów, opadły i obaj mogli bez przeszkód złożyć dworski ukłon.

Wilkowski wpatrzył się w twarz księcia. Aleksander był uderzająco

podobny do swojego koronowanego kuzyna. Gdy się uśmiechał, w jego

oczach zapalały się ogniki pierwotnej dzikości. Susłow także przyglądał

się postaci gospodarza statku. Jednak jego spojrzenie było inne. Omiótł

nim całą postać i skoncentrował się nie na twarzy, lecz na trzymanym w

dłoni, lekko wymiętym numerze "Przeglądu Naukowego".

"Aha" - wydedukował.

*

Dziesięć minut później

Oczy Wielkiego Księcia Aleksandra były ciemne jak noc i migotały w

nich dziwne ogniki. Z całej jego twarzy Wilkowski najlepiej zapamiętał te

oczy. Na stole stały karafki, kieliszki z szampanem, pieczywo na tacy,

rondelek z parówkami w pikantnym sosie, samowar, jesiotr w galarecie,

wędzony węgorz i milion innych rzeczy, przydatnych do tego, by spędzić

miły piknik na pokładzie wojennego okrętu, pędzącego gdzieś w stronę

twierdzy w Kronsztadzie. Za każdym z agentów stał służący. Posilali się w

milczeniu. Wreszcie książę otarł usta serwetką i przemówił.

- Zastanawiacie się z pewnością, w jakim celu się tu znaleźliście.

- Zapewne Wasza Wysokość, wzorem swojego pradziada, osobiście

nadzoruje brankę do floty - wyraził swoje zdanie Wilkowski.

- Jeśli wyżywienie nadal będzie tak wspaniałe, to jesteśmy gotowi się zaciągnąć i nie będziemy stawiać oporu - dodał Susłow.

Księżę uśmiechnął się.

- Flota przeszła daleką drogę, ale oczywiście dużo jeszcze zostało do zrobienia. Czytał pan artykuł profesora Filipowa? -zapytał Wilkowskiego.

- Czytałem.

- I jakie wnioski wyciągnął pan z tej lektury?

- Przykro mi, ale braki w podstawowym wykształceniu uniemożliwiają mi dotarcie do sedna zagadnienia, o którym tenże artykuł traktuje. Nic nie zrozumiałem.

"Kłamie" - pomyślał jego szef. - "On wie jeszcze więcej."

- Znają panowie skutki wybuchu funta trotylu?

- Tak - odpowiedział Susłow. - Terroryci używają zazwyczaj cięższych pakunków, ale wiąże się to z błędami konstrukcyjnymi. Prawidłowo użyta bomba o masie około jednej czwartej puda jest w stanie zabić do dziesięciu osób, a w przypadku zwartego tłumu zapewne dwukrotnie więcej. Funt trotylu może zniszczyć w dwu miejscach tor kolejowy, dokonując zerwania stalowej szyny. Taka sama ilość może skruszyć mur o grubości pół arszyna, wykonany z cegieł, choć raczej nie powinna porazić śmiertelnie osób po drugiej stronie. Z kolei...

Księżę przerwał mu gestem.

- Co powie pan na bombę o wadze jednego puda, a mocy przewyższającej, powiedzmy, tysiąc razy moc wybuchu analogicznej ilości?

- Bombę atomową, jak to nazwał w swoim artykule profesor...

- Właśnie. Ładunek wielkości beczki, który zniszczy połowę naszego pięknego miasta...

Na twarzy Susłowa odbiło się skrajne niedowierzenie, a na twarzy Wilkowskiego obojętne znudzenie. Znudzenie, spowodowane znajomością tematu.

*

Ubrany po cywilnemu człowiek wszedł bez pukania do gabinetu

Łopuchina. Dyrektor departamentu policji wciągnął w płuca haust powietrza. W głowie nie mieściło mu się, że ktoś mógł ośmielić się wejść do tego sanktuarium władzy bez zameldowania. Gość ruszył spokojnie w stronę biurka.

- Kto ty jesteś? - ryknął dyrektor. - Won mi stąd!

Gość popatrzył na niego. I nagle wszechwładny urzędnik stracił całą pewność siebie. Wzrok tajemniczego cywila był nieruchomy. Na jego twarzy nie odmalowało się żadne uczucie. Nie było w niej wahania.

Wybuch wściekłości dygnitarza nie zrobił na nim wrażenia.

- Zechce pan zapoznać się z tym pismem - powiedział gość spokojnie -

I pokwitować, że treść jego jest panu znaną.

Położył na biurku jakiś papier.

- Wynocha! - ryknął dyrektor. - Tu się nie wchodzi bez zameldowania!

Na twarzy gościa po raz pierwszy odmalowało się jakieś uczucie. O zgrozo, było to rozbawienie.

- Kurier carski Almaz Paczenko - rzucił przez zaciśnięte wargi. - Ze chce się pan zapoznać z treścią przedstawionego dokumentu i pokwitować, że jest panu znaną. Że przyjął pan to do wiadomości.

Kurier carski! Dyrektor podszedł do biurka i wziął papier w rękę.

Przywrócić w trybie natychmiastowym agentów Susłowa i

Wilkowskiego do czynnej służby w Ochronie. Od chwili obecnej

podlegają bezpośrednio rozkazom mojego kuzyna, Jego Wysokości

Wielkiego Księcia Aleksandra Michajłowicza Romanowa. Ochrana oraz

policja mają obowiązek na każde ich żądanie dostarczyć wszelkiej

możliwej pomocy w prowadzonym przez nich śledztwie. Utrudnianie

śledztwa traktowane będzie jak zdrada najżywotniejszych interesów

państwowych i karane bez litości

Mikołaj II Imperator.

Kurier podsunął mu papier. Machinalnie złożył podpis.

- Fakt zwolnienia ich ze służby w samym środku delikatnego śledztwa, które to zwolnienie pociągnęło za sobą krach całej akcji i śmierć wielu oficerów policji, nie zostanie puszczony w niepamięć - kurier mówił nadal niezwykle spokojnie. - Nagana z wpisaniem do akt zostanie dostarczona w ciągu tygodnia. Car, choć bardzo wzburzyły go zaszłe wypadki, na razie zdecydował nie posuwać się do degradacji.

- Tak jest - głos dyrektora załamał się.

- Szef korpusu żandarmów, generał Kurłow, został zdjęty ze stanowiska i przeniesiony na Daleki Wschód. Mam nadzieję że nic już nie muszę wyjaśniać?

- Tak jest.

Gość wyszedł bez pożegnania, zabierając ze sobą pokwitowanie.

Łopuchin otworzył szufladę biurka i wyjął z niej rewolwer. Popatrzył na

leżący przed nim dokument i włożył lufę do ust. Po chwili jednak

zrezygnował z samobójczych zamiarów. Ktoś musiał wydać rozkazy. Z

ciężkim westchnieniem sięgnął po telefon.

*

Wtorek, 13:47

Profesor Filipow wszedł do kantoru firmy "Ranson i syn", zajmującej się dostarczaniem produktów przemysłu chemicznego dla potrzeb

instytutów naukowych i laboratoriów. Właściciel, siedzący za biurkiem,

na jego widok poniósł głowę.

- Dzień dobry, profesorze.

- Dzień dobry.

- Cóż pana do nas sprowadza i w czym moglibyśmy pomóc?

- Potrzebuję trochę uranu. Blendy uranowej.

- Z kopalni w czeskich Rudawach? Chce pan zapewne sprawdzić

wyniki małżonków Curie?

Najnowszy numer "Przeglądu Naukowego" leżał przed nim na ladzie.

Profesor uśmiechnął się złośliwie.

- Powiedzmy. Możecie mi to sprowadzić?

- Oczywiście. Ile potrzeba? Dziesięć, piętnaście kilo?

- Siedem ton.

*

Susłow i Wilkowski siedzieli na skwerku po drugiej stronie ulicy,

obserwując w milczeniu kantor firmy.

- Ciekawe, czego może od nich chcieć? - zastanawiał się Nikifor. -

Pewnie coś związanego z jego pracą. Albo z naszą sprawą.

- Albo z jednym i z drugim. Co robimy?

- Hm, nie mają telefonu. Nie zadzwonią stąd. Musimy czekać i mieć nadzieję, że sprawa się jakoś wyklaruje.

- Bardziej martwi mnie sprawa Sawinkowa i Antonowa. Ta parka stanowi najlepszą mieszankę wybuchową, jaka chodziła po ulicach naszego uroczego miasta.

- Sądzę, że po pierwsze obaj są już daleko, a po drugie rozdzielili się zaraz po tamtym skoku na bank. Większość grup terrorystycznych składa się z kilku ludzi lub nawet jednego człowieka. Dla dokonania zamachu łączą się w niewielkie armie, liczące kilku albo kilkunastu gotowych na wszystko bydlaków.

- Co może łączyć profesora z takimi ludźmi?

Susłow zamyślił się.

- Władza. Przekonania polityczne. Nie zapominaj, że ten wesoły uczony jest podejrzany o produkcję dynamitu. Wprawdzie minęło już sporo lat, ale tamto śledztwo nie zostało dotąd oficjalnie zamknięte.

- Zamachowcy zostali powieszoni...

- To prawda, ale nie odkryto wszystkich ich kontaktów. Owszem, partia została wówczas rozbita, ale nie do końca. Nie pozwolono wówczas na stosowanie tortur. Załatwilibyśmy całą tę hołotę.

- A może oni mają go w rękę? Może mają dowody, obciążające go w tej

sprawie?

- To niewykluczone, ale mało prawdopodobne. Działanie na szkodę naszemu krajowi jest dla profesora potrzebą serca.

- Wychodzi.

- Dobrze. Idź za nim, a ja tu popilnuję.

- Hm?

- Och, po prostu jeśli zamówienie jest poważne, to niebawem syn właściciela pójdzie na pocztę wysłać depeszę lub weźmie dorożkę i pojedzie do składów przy dworcu.

- Jasne. To ja idę za profesorem.

- Powodzenia.

Rozdzielili się. Wilkowski, zachowując ostrożność, ruszył za profesorem. Kluczyli dość długo, wreszcie profesor wszedł do sporej, odrapanej kamienicy. Tomasz siadł na ławce kawałek dalej i wyciągnął z kieszeni książeczkę. Studiował ją przez chwilę. Odnalazł adres. Tu, na czwartym piętrze, profesor miał niewielkie laboratorium.

Susłow tkwił przed kantorem. Za pomocą niewielkiej lornetki zlustrował jego wnętrze. Ranson siedział przy biurku i wypełniał jakiś papier. Potem zawołał z zaplecza swojego syna. Wręczył mu kartkę. W ciemnym kantorze na chwilę zabłysła przekazywana z rąk do rąk złota dziesięciorublowka. Susłow schował lornetkę i wstał niespiesznie z ławki. Syn dostawcy, pogwizdując wesoło, ruszył w stronę niedalekiej stacji telegrafu. Agent jak cień podążył za nim. Nie było kolejki. Poślaniec nadał depeszę, zapłacił i opuścił urząd. Nikifor odprowadził go wzrokiem.

Chłopiec wracał prosto do firmy. Agent uśmiechnął się lekko i wszedł do stacji. Siedzący za ladą telegrafista podniósł wzrok. Susłow błysnął odznaką Ochrany. Telegrafista skinął głową i bez słowa podał odbitkę ostatniej depechy. Rozumieli się bez słów. Dwaj zapracowani, państwowi urzędnicy.

Zamawiam siedem ton blendy uranowej najwyższej jakości ze złoża Albrecht. Dostarczyć na adres mojego składu w możliwie najszybszym czasie. Płatne w całości gotówką, natychmiast po odbiorze.

Ranson

- Czy życzy pan sobie kopię odpowiedzi? -zapytał telegrafista.

- Tak. Na adres Ochrany. Rozliczymy wedle taryfy plus premia.

- Oczywiście.

Susłow pożegnał się i wyszedł. Nie miał pojęcia, gdzie może przebywać śledzący profesora Wilkowski. Zajrzał do redakcji "Przeglądu Naukowego", ale profesor tam nie przyszedł. Tomasz nie sterczał także przed domem profesora. Susłow poskrobał się po głowie, a potem poszedł do centrali. Wcześniej czy później jego współpracownik zadzwoni lub przyjdzie. Wszedł do swojego gabinetu i westchnął. Poczł się, jakby wrócił do domu. Gdy wrócił przedwczorajszego wieczoru i znalazł śpiącego na dywanie współpracownika, sądził, że widzi to miejsce po raz ostatni. Cieszył się, że się pomylił. Usiadł wygodnie w fotelu, zapalił cygaro i zatopił się w studiowaniu "Przeglądu". Nic a nic nie mógł zrozumieć z artykułu, który stał się przyczyną tych wszystkich kłopotów. A już zupełnie nie był w stanie wydedukować z niego tego, co wyczytał

książę Aleksander.

- Materiał wybuchowy o niespotykanej sile - powiedział sam do siebie -

Tylko tego nam brakowało.

Minęły dwie godziny. Przybiegł posłaniec ze stacji telegrafu. Kopalnia przysłała odpowiedź.

Odpowiednia ilość rudy w pakowaniu. Transport przyjdzie do Petersburga siedemnastego bieżącego miesiąca pociągiem towarowym o 23: 15. Pieniądze proszę przesłać z góry.

Silberstein.

Agent zatarł dłonie i uśmiechnął się lekko.

- Mamy ich - powiedział w przestrzeń.

*

Do kantoru Ransona wszedł inny posłaniec ze stacji telegrafu.

- Dzień dobry - zagadnął.

- Dobry - mruknął Ranson. - Jest już, jak widzę, odpowiedź?

- Tak, tylko że widzi pan, jest taki drobiazg. W chwilę po wyjściu tego chłopaka, który przyniósł i nadał depeszę, przyszedł do nas agent

Ochrany. Mój szef dał mu odbitkę pańskiej depeszy i on ją przeczytał, a potem umówili się, że jeśli przyjdzie odpowiedź...

- Co!?

- I on teraz wysłał drugiego posłańca do Ochrany z kopią.

Ranson pobladł lekko. Ta sprawa z uranem była teoretycznie czysta, ale jeśli Ochrańca go śledziła, to mogło się to źle skończyć i nawet nie chodziło tu o tę nitroglicerynę, którą sprzedał dwa miesiące temu

anarchistom, ale miał na sumieniu poważniejsze sprawy. Wydobył z

kieszeni złotego imperiała i wręczył posłańcowi.

- Chcesz zarobić jeszcze dziesiątaka?

- Tak jest!

- Zanieś tę kartkę pod wskazany adres.

Skreślił pośpiesznie kilka słów na karteluszkę, wsadził do koperty,

napisał na wierzchu adres i wręczył posłańcowi.

- Wykonać - polecił, wciskając mu banknot w rękę.

Chłopak pognał, jakby mu kto przypiął skrzydła do stóp. Dwadzieścia

pięć rubli jednego dnia. Tyle co dwa miesiące pracy! Dziesiątaka wyśle

zaraz rodzicom. Nagle zahamował gwałtownie. Nagła i niespodziewana

myśl wpadła mu do głowy. Dlaczego by nie zarobić jeszcze więcej? Ta

kartka musiała skrywać ważne tajemnice. Ochrana mogłaby zapłacić za

nią co najmniej rubla. Ale odezwało się w nim sumienie. Ostatecznie

został sownie wynagrodzony. Niebawem stanął przed sporą kamienicą.

Wszedł na czwarte piętro i zastukał do drzwi. Otworzył mu rosły

mężczyzna w kamizelce i białym fartuchu. Pod fartuchem rysował się

wyraźnie kształt grubej dewizki od zegarka.

- Depesza do mnie? - zadziwił się.

- Nie. Pan Ranson przysłał mnie z kartką.

Profesor wyjął z jego dłoni kopertę i przeczytał notatkę.

Ochrana depcze ci po piętach. Wiedzą o uranie, zdobyli kopię

depeszy. Transport przyjdzie siedemnastego pociągiem. Proszę o

dyspozycje, czy mam odwołać, czy przyjąć.

Ranson

Profesor poczuł, jak strumyczek potu ścieka mu po plecach. Wiedział,

że w Ochronie pracują niezli fachowcy, ale nie sądził, że jest aż tak dobrze śledzony. I że tak szybko potrafią działać. Wyrwał kartkę z notatnika.

Spotkajmy się dziś wieczorem. Tam gdzie zwykle. Postaram się ich zgubić.

Filipow

Wręczył kartkę posłańcowi.

- Zaniesiesz to panu Ransonowi - powiedział.

- Ja już powinienem wracać do pracy. Mój szef się wścieknie...

- Masz dla dodania odwagi - profesor wyjął z portfela banknot

dwudziestopięciorublowy z portetem Aleksandra III-go. - I gnaj.

Posłaniec pognał. Wszystko w nim śpiewało. Pięćdziesiąt rubli jednego

dnia! Pośle rodzicom na wsi. Kupią sobie wymarzoną krowę. Nie

wiedział, że krowa urodzi siedem jałówek pod rząd, zatrzymają wszystkie,

będą sprzedawali mleko w mieście i dorobią się jeszcze kilku świń, a w

dziewiętnastym roku zostaną wszyscy rozstrzelani jako kułacy i wrogowie

ludu.

*

22:13

Susłow i Wilkowski szli po śladach. Nie było to trudne, spadł świeży

śnieg. Właściwie to padał cały czas. Wyszli nad morze. Tu, na kamiennym

nabrzeżu, niedaleko zacumowanego statku, profesor spotkał się z kimś

drugim. Rozmawiali, a ich oddechy pojawiały się w ciemności jak białe

obłoczki. Od morza bił ciężki, ołowiany blask. Latanie oświetlające

bulwar także rzucały trochę światła. Susłow wydobyl z kieszeni lornetkę i przez chwilę przyglądał się rozmawiającym.

- To Ranson - powiedział.

- O. Co on tu robi?

- Sprawa się ryła. Wiedzą już, że wiemy o transporcie.

- Co wobec tego zrobią?

- Ano, spróbują go przeszmułować jakoś inaczej.

*

- Czy to pewna informacja? - zaniepokoił się profesor.

- Tak. Jestem pewien.

- Oficjalnie nic nie mogą zrobić. Uran sprowadzam legalnie. Nie jest to towar zakazany w żaden sposób. Chcę sprawdzić wyniki badań małżonków Curie.

- Nie wnikam w pańskie przyczyny i cele, profesorze. Chciałem, żeby pan wiedział.

- Hm. Wiem. Nu dobrze. Nie chcę, żeby mi w tym grzebali. Co pan radzi?

- Och, żaden problem. Sfałszujemy listy przewozowe. Uran przyjedzie do nas jako ruda cynku.

- Hmm. To dobry pomysł.

- Dodatkowo przesyłce towarzyszyć będzie kurier. Wyślę po odbiór mojego syna.

- Czy to bezpieczne?

- Ma już szesnaście lat. Poradzi sobie z płatnościami i ze wszystkim

innym.

- W porządku.

*

Dwaj agenci odprowadzili profesora aż do jego domu. Gdy zniknął w środku, wślizgnęli się po cichu za nim. W stróżówce siedział agent Szurko.

- No i jak wam idzie? - zagadnął, podsuwając im szklanki z herbatą.

- Spotkał się z jednym starym znajomym. Niedobrze.

- Jeśli można coś doradzić... - zaczął Szurko.

- Tak?

- Mogą przywieźć sobie ten uran legalnie?

- Tak. Nie ma żadnych przepisów zabraniających takiego importu.

- Chyba mam pomysł. Macie błogosławieństwo samego cara. I chcecie, żeby ten towar nigdy nie dotarł do naszego miasta.

- Tak. Z grubsza o to chodzi. Jeśli faktycznie można z tego zмайstrować tak silną bombę, to naszym obowiązkiem jest uniemożliwić wszelkie próby w tym kierunku.

- Więc trzeba wydać zakaz przywożenia tej substancji. Car podpisze w pierwszej kolejności.

- Dobrze. Ale jak to uargumentować?

Szurko wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Może wymyśliłby to ten cały doradca techniczny księcia.

- To jest myśl. Przyślemy ci Akimowa. Pilnujcie dalej.

- W nocy raczej się nie rusza z domu. Spokojnie. Nie ucieknie.

Będziecie znali każdy jego krok.

- Szkoda, że nie da się założyć mu w mieszkaniu podsłuchu - westchnął Susłow.

- Znaczy jak?

- Trwają nad tym próby. Umieścić coś w rodzaju telefonu gdzieś pod łóżkiem, a samemu usiąść w stróżówce i słuchać wszystkiego, co dzieje się w mieszkaniu.

- Genialne! Zakładajmy bez chwili zwłoki.

- Na razie to jest w fazie prób i projektów. Słyszałem o tym w ubiegłym miesiącu, na seminarium poświęconym perspektywom rozwoju tajnej policji w oparciu o najnowsze zdobycze techniki. Nawet nie wiem, kto się tym zajmuje. Ale może rzeczywiście to nie jest zła myśl. Sprawdzę to jeszcze dziś.

Pożegnali się i obaj agenci wyszli w ciemność. Z czynnej całą dobę apteki zadzwonili do centrali i polecieli Akimowowi zająć posterunek w stróżówce.

- I co dalej? -zapytał Wilkowski tłumiąc ziewnięcie.

- Złożymy wizytę naszemu promotorowi.

Złapali dorożkę i niebawem wysiedli przed pałacem. Zapukali kołatką do masywnych drzwi. Otworzył im służący o nieprzeniknionym wyrazie twarzy.

- Panowie do kogo? -zainteresował się.

- Chcielibyśmy się widzieć z Pawło Miedwiedem.

- Niestety, pan Pawło jest nieobecny.

- Sprawa, która nas sprowadza, jest dość pilna. Jeśli wydał dyspozycje, żeby mu nie przeszkadzano, poczekamy, aż go pan powiadomi o naszym przybyciu.

Służący uśmiechnął się szeroko.

- Sądząc z głębokiej mądrości pańskiej wypowiedzi, jest pan zapewne Nikiforem Susłowem, agentem Ochrony?

- Zgadza się.

- Konsultant przebywa wraz z Jego Wysokością na pokładzie kanonierki Andromeda, zacumowanej pośrodku zatoki. Pracują nad czymś. Można się do nich dostać wpław albo łódką.

- Chwatit. Dziękujemy za informacje.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Ruszyli na nabrzeże. Niebawem wypatrzyli starego rybaka, który zwijał sieć w świetle latarni. Wilkowski podszedł do niego.

- Wybacz pan - zagadnął - Potrzebujemy kogoś z łódką celem dostania się na środek zatoki.

Staruszek zamyślił się.

- Padał śnieg. W taką pogodę może niespodziewanie zerwać się burza.

W które miejsce zatoki trzeba się wam dostać?

- Na pokład kanonierki Andromeda.

- W zasadzie czemu by nie?

- A ile by to kosztowało?

- Musi co pięć rubli. Za jednego.

- Rozbój w biały dzień.

Starzec uśmiechnął się. Jeden ząb miał złoty, co wyglądało trochę nienaturalnie, bo nie miał żadnych innych.

- Mamy noc, agencie. Zresztą nie powiedziałem jeszcze, że w młodości byłem piratem.

Susłow podszedł i popatrzył starcowi w oczy.

- Jefim Urwanko zwany Dziadkiem? - upewnił się. - Szmugiel jedwabiu do Suomi?

Oczy zabłyśły w ciemności.

- Agent Susłow. Jak to miło. Nu pomyślę o ekstra dopłacie. Razem piętnaście rubli.

- Jefim, ty sobie sam grób kopiesz.

- Jestem najlepszy do żeglowania. Pamięta pan w 1901-szym? Nie dogonili mnie parowym kutrem pościgowym.

- Miałeś dobry wiatr.

- Bóg sprzyja przemytnikom. Zatrzymałem się aż w Szwecji.

- Teraz wróciłeś?

- Musiałem spłacić współników, gdy wyszli wreszcie z więzienia. Na Andromedę? Tam i z powrotem czterdzieści rubli.

- Zaraz. Przed chwilą miało być piętnaście za przejazd w jedną stronę!

- No tak, ale z powrotem ciężiej. Zresztą mam już swoje lata.

- Aresztuję cię za tamte sprawy.

- A ma pan nakaz?

Susłow wyjął z raportówki nakaz i wręczył staruszkowi.

- Noszę zawsze przy sobie nakazy na wszystkich, którym się udało

zwiąć. Nie wiedziałeś o tym? Nie mówili ci?

- Nie mówili.

- No to jesteś aresztowany.

- Co pan. Tego nie da się udowodnić.

- Czego nie da się udowodnić?

- Nie mam przy sobie paszportu. Nie możecie mi udowodnić, że jestem

Urwanko.

Susłow westchnął ciężko.

- Chodźmy stąd, bo zwariuję - powiedział.

- Dobra, zawiozę was za dziesiątka - powiedział nieoczekiwanie

staruszek.

Pięć minut później siedzieli już na jego cuchnącej zgniłą rybą łódce.

Jefim postawił brudny żagiel, zszyty z jakichś koszmarnych szmat, i

złapał weń wiatr. Łódka, choć brudna i pokraczna, pomknęła szybko po

spienionych falach.

Kajuta Wielkiego Księcia była cudowną oazą spokoju pośród ciemności

i fal zatoki. Siedzieli, przebrani w suche marynarskie mundury i szczękali

zębami o brzegi szklanek. Arystokrata przechadzał się wolno,

zastanawiając się nad ich relacją.

- Trzeba się zastanowić, czego właściwie chcemy - powiedział wreszcie.

- Jeśli wpuścimy uran na naszą ziemię, to...

- Wpuścimy. Nie istnieją żadne ograniczenia wwozu - powiedział

Miedwied.

- Tak czy siak, jeśli wjedzie tutaj, to oni spróbują zmajstrować swoją bombę.

Susłow opanował dreszcze zimna.

- A jeśli jest jakiś błąd w obliczeniach?

Doradca techniczny w zadumie puścił kłąb dymu z fajki.

- To wygląda całkiem realnie. Ilość radu powolutku się zmniejsza. Rad rozpada się, wydzielając światło, fale radiowe i promieniowanie.

Promieniowanie podtrzymuje rozpad. Gdy wydzielili się go dużo naraz może to spowodować reakcję łańcuchową. Tak mi się przynajmniej wydaje. Może się myłę. Większa ilość spala się szybciej. Ponieważ następuje niewątpliwy rozpad atomów, możemy założyć, że w przypadku rozpadu dużej ilości na raz efekty będą znacznie większe. Rozpad stymulowany jest jakimś rodzajem promieniowania i wydaje się, że podtrzymuje się samoczynnie. To tak, jak ze stosem mokrego torfu.

Palimy małą kupkę suchego. Od niego zajmuje się ten mokry i powolutku, spalając się, suszy kolejną porcję dwa razy większą.

- Hmm - powiedział Susłow. - Nie jestem chemikiem. Cała ta techniczna strona zagadnienia jest mi obca. Proszę o instrukcje. Wpuścić ładunek czy nie wpuszczać. I co zrobić, jeśli mimo to znajdzie się na miejscu.

Miedwied zamyślił się.

- Zrobimy inaczej. Zakaz wyda się jak najprędzej. Gdy pierwsza partia przybędzie, będzie można ją spokojnie skonfiskować. Ta partia posłuży mi do badań. Jeśli uda się skonstruować urządzenie służące do rozbijania

atomów, wówczas będziemy wiedzieli, że nie wolno nam dopuścić do dalszej eksploatacji tych złóż. Jeśli się nie uda, niech sobie w tym dłubią do woli.

- Przepuszczamy transport, a potem konfiskujemy?

- Tak.

Podali sobie ręce nad stołem. Oczy Wilkowskiego zabłyśły.

*

17 marca, 2:13

Po peronie hulał lodowaty wiatr. Ciemno było, choć oko wykol, tylko zza budynku dworca towarowego padało trochę światła. Latarnie gazowe były zgaszone. Zapalono je dopiero koło drugiej. Pociąg wynurzył się ze śnieżnej zamieci jak wielki, obrzydliwy hipopotam. Zaryczał syreną, puścił kłęb pary. Zapiszczały hamulce, a wagony, wytrącone gwałtownie ze swojego rytmu, uderzyły o siebie. Trzej dzielni agenci Ochrony i doradca naukowy księcia siedzieli za pryzmą podkładów i obserwowali. Z wagonu wygramolił się chłopak o rozspanych oczach.

- Młody Ranson - szepnął Akimow.

Susłow kiwnął głową.

- Na co on czeka?

- Na transport. Przecież nie będzie wyladowywał gołymi rękami na ziemię.

- Myślałem, że wpakuje to do składów dworcowych.

- Widocznie zależy im, żeby szybko dotarło do adresata.

Po chwili rozległ się turkot kół i podjechały dwie furmanki. Na ziemię zeskoczyło czterech robotników.

- Wkraczamy? - szeptem zapytał Wilkowski.

- Czekamy. To już nie potrwa długo.

Po chwili nadjechała dorożka. Wysiadł z niej właściciel firmy. Uściskał syna.

- Teraz - szepnął Susłow.

Wyszli zza hałdy pokładów.

- Pan Johan K. Ranson? -zapytał Susłow oficjalnym tonem, odchylając klapę marynarki.

- Tak, a o co chodzi?

- Zgodnie z wczorajszym rozporządzeniem Jego Wysokości, import uranu oraz jego rudy został zakazany.

- Zaraz, zaraz, uran zamówiłem wcześniej. Nikt nas nie ostrzegł.

- Dlatego też nie staniecie przed sądem. Wilkowski, proszę wypisać kwit o rekwizycji. Akimow, sprawdźcie ładunek i listy przewozowe.

We wzroku właściciela odmalowała się straszliwa nienawiść. Pawło

Miedwied zerwał plombę i odsunął z rozmachem boczne drzwi wagonu.

W ciemności zamajaczyły skrzynki wypełnione czarną skałą. Wskoczył do

środka i przyłożył jakiś przyrząd do jednej z nich. Zapalił sobie

karbidówkę i w jej mętnym, błękitnym świetle starał się odczytać

wskazania.

- To niemożliwe - szepnął.

Sprawdził inną skrzynkę. Wskazówka nawet nie drgnęła. Odwinął z

ołowianej puszkę próbę kontrolną i porównał. Tym razem urządzenie

zadziało.

Wyskoczył na peron. Jego twarz wypełniała pustka.

- Coś nie tak? - zapytał Susłow. Ranson z synem wsiedli w międzyczasie do dorożki i właśnie znikali.

- Agencie Susłow, to w ogóle nie jest uran!

- Co? - zdumiał się Akimow. - Jak to nie uran?

- Galena, blenda ołowiana albo coś takiego. Wykiwali nas.

Susłow wydobyl z kieszeni rewolwer i obejrzał się za dorożką. Za późno. Już zniknęła w ciemności. Akimow wpatrywał się w wyciągnięta zza pazuchy kartkę. Na jego twarzy malowało się zdziwienie. Wreszcie przemógł się.

- Uran zapewne tak czy siak kupili, ale domyślili się czegoś i teraz dotrze do Petersburga inną drogą.

- To brzmi całkiem niegłupio - powiedział jego szef. - Chodź, trzeba wydać nakaz aresztowania Ransona.

- Nie mamy podstaw...

- Nie szkodzi. Jak się go przyciśnie, to może coś wyśpiewa.

Z lokomotywy wygramolił się maszynista.

- Długo jeszcze? - zagadnął gderliwie. - Wyładowujecie to?

- Nie - odpowiedział agent. - Możecie zużyć do posypywania torów.

Odwrócili się i ruszyli do swojej dorożki, zaparkowanej w odległym, bezpiecznym miejscu. Wilkowski musiał się chyba źle poczuć, bo w pewnej chwili zatoczył się i jakimś takim rozpaczliwym ruchem złapał Akimowa za ramię. Agent podtrzymał go.

- Co się stało? - zapytał z troską.

- Drobiazg, po prostu źle się poczułem. Zaraz przejdzie.

Jednak po chwili jęknął i padł na kolana. Susłow, idący za nimi, pochylił się i podniósł maleńką książeczkę, która wypadła Wilkowskiemu. Wrzucił ją do kieszeni z zamiarem późniejszego oddania właścicielowi i podbiegł do Akimowa. Wspólnymi siłami dźwignęli kumpla i podtrzymali.

- Zabrać cię do szpitala? - zapytał Nikifor.

- To nie pomoże. Do dorożki...

Odprawdzili go i położyli na tylnym siedzeniu.

- Odeślij Akimowa - szepnął.

- Mogę cię prosić? -zapytał Susłow.

Agent wyszedł i stanął gdzieś niedaleko, paląc papierosa.

- Co się z tobą dzieje? -zapytał Susłow.

- Umieram. Myślałem, że się uda. Ale teraz ty musisz zająć moje miejsce. Dwa tygodnie. Myślałem, że pożyję dłużej.

Szukał czegoś nieporadnie po kieszeni.

- Tego szukasz? - szef podał mu książeczkę.

- Więc wiesz.

- Nie, nie czytałem tego. Co...?

Leżący zakaszłał.

- Urodziłem się w 2034 - tym roku - powiedział. - Wiem, co mówię, to nie jest maligna. Urodziłem się w dwudziestej siódmej republice Odrodzonego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

- Gdzie?

- Posłuchaj, resztę przeczytasz w tym - puknął palcem w okładkę. -

Musisz ratować ten piękny kraj.

- Ratować? Przed czym?

- Uran. Musisz go odnaleźć.

- Proszę o dodatkowe wyjaśnienia.

- W 1918-tym roku wybuchła rewolucja. Władzę przejęli bolszewicy.

Przez siedemdziesiąt lat władali całą Rosją, Polską, Chinami, sporym kawałkiem Indonezji, Koreą, Kubą...

- Jesteś pewien tego, co mówisz?

- Tak. Potem nastąpił krach imperium. Ludzie odrzucili socjalizm, ale komuniści zsyntetyzowali zielony wiatr. Była to najstraszliwsza broń w historii ludzkości. Uniwersalny czynnik mutagenny, atakujący każdą materię organiczną.

- Błagam. Wolniej. Nic nie rozumiem.

- Rak. Każda żywa istota tym spryskana musiała zachorować i umrzeć.

Ale było coś jeszcze gorszego. Oni mieli antidotum. Wydawali je jedynie tym, którzy poszli do nich na służbę. W 2057 roku udało się stworzyć szczepionkę. Przeszliśmy do ataku. Wtedy partia podjęła decyzję. Cofnąć się w czasie i rozegrać starcie jeszcze raz. Tu. W 1903 roku.

- Sawinkow dostanie swoją bombę?

- Tak. Nie dostałby. Filipow pracował wprawdzie nad rozbiciem atomu, ale szybko się zniechęcił. Teraz dostał schemat. Już go ma. Na razie rozmyśla nad teorią, ale niebawem przejdzie do eksperymentów.

- Od kogo? Kto mu to dał?

- Od kogoś takiego jak ja. Przybysza z przyszłości...

- Czekaj. Co zrobić, żeby nie było rewolucji?

- Ona musi być.

- Jak to?

- Jeśli zbyt dużo będziemy majstrować, to rozwalimy wszystko. Czas

nie wytrzyma zbyt wielu manipulacji. Nastąpi uszkodzenie samej

struktury rzeczywistości. Zabij Filipowa. On i tak ma zginąć z rąk agenta

Ochrony. Gdy będziesz go zabijał, musisz uważać. Ktoś będzie go chronił.

Filipow jest tu postacią kluczową...

Przymknął oczy. Dostał dreszczy.

- Chciałem zostać tu dłużej, ale...

- Co ci właściwie jest?

- Choroba popromienna. Jeśli oni zbudują bombę, to trzy czwarte

ludzkości wkrótce znajdzie się w takim stanie, jak ja.

Podał mu drżącą ręką książeczkę.

- Pamiętaj, że rewolucja i tak, i tak musi wybuchnąć.

Susłow uśmiechnął się smutno.

- Zrobię tak, jak prosiłeś. Kiedy mam zabić Filipowa, żeby historia się
nie wywróciła?

- Tam jest wszystko zapisane. Wsiądź teraz. Nie chcę, żebyś patrzył.

Susłow wysiadł i oparł się o ścianę powozu. Zaczął padać deszcz. Po

chwili poczuł kilkakrotny wstrząs pojazdu, czyjeś nogi uderzyły w drzwi i

to był koniec. Z mokrego tumanu wyszedł Pawło Miedwied.

- Co się stało?

- Wilkowski nie żyje - powiedział Susłow.

- Co mu się stało?

- Zachorował nagle. Chyba zatrucie pokarmowe.

Miedwied uśmiechnął się dziwnie. Patrzył na książkę w dłoni agenta.

- A nie choroba popromienna? - zagadnął.

Usiłował wyciągnąć rękę z kieszeni, ale zaplątała się. Susłow strzelił mu między oczy. Pochylił się nad ciałem. Pawło otworzył oczy. Biorąc pod uwagę fakt, że miał dziurę w czole, wyglądało to nieco nienaturalnie.

- Nie jestem sam - powiedział. - Nadchodzi rewolucja.

Susłow strzelał, aż z głowy doradcy technicznego pozostała krwawa miazga, poprządkowana drutami i układami scalonymi. Wreszcie pochylił się i zaczął przeszukiwać kieszenie nieboszczyka. Znalazł czerwoną książeczkę z wytłoczonym na okładce sierpem i młotem. Emblemat był identyczny, ale ta Miedwieda był dużo cieńsza. Otworzył ją.

- Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego. Legitymacja Członkowska - przeczytał.

Wzdrygnął się. Z następnej strony patrzyło na niego trójwymiarowe zdjęcie nieboszczyka. W jednej z jego kieszeni znalazł porażacz elektryczny. Nie wiedział, co to jest, ale zabrał, by później nad tym pomyśleć. Wreszcie rozerwał leżącemu koszulę na piersiach. Na srebrnym łańcuszku wisiał mały, złoty sierp skrzyżowany z młotem.

Kiwnął głową w zadumie. Zdobył wreszcie ostateczną pewność. Podniósł się z ziemi. Akimow stał obok z pytającym wyrazem twarzy. W dłoni trzymał rewolwer.

- Wilkowski umarł, a tego sam zastrzeliłem - wyjaśnił Susłow.

- Widziałem. Pierwszy sięgnął po broń.

- Zawieź oba ciała do kostnicy. Masz tu pięćset rubli. Wilkowskiemu załatwisz pogrzeb. A tego do lodu. Potem trzeba będzie sprawdzić, co miał w bebechach - trącił nogą kawałek płytki drukowanej, umazanej w szarej masie mózgu.

- A pan?

- Przechodzę do wywiadu wojskowego marynarki wojennej. Spotkamy się jeszcze.

- Mam nadzieję...

Pożegnał go uściskiem dłoni i ruszył w stronę miasta. Godzinę później zapukał do drzwi pałacu nad Mojką. Mimo późnej pory, księżę

Aleksander pracował w gabinecie. Pisał projekt rozbudowy floty wojennej i przebrojenia armii. Trzeba było to zrobić, wojna z Japonią wisiała na włosku.

- W czym mogę ci pomóc? - zapytał księżę, widząc stojącego przed jego biurkiem Susłowa.

Agent bez słowa położył przed nim książeczkę, legitymację Miedwieda i zerwany z jego szyi wisiołek z sierpem i młotem.

- Wasza Wysokość, zaczęła się wojna.

KONIEC